



Marzec 2024 Nr 253

DWUKROPEK:

Miesięcznik Kulturalno-Edukacyjny dla Polaków w Cape Town

POGAŃSKIE KORZENIE WIELKANOCY

Jeremi Przybora: Pan B

Kościół w Grzesaczu: historia i legendy

Henryk Bista: mistrz epizodu



PATRONI ROKU 2024 WYBRANI PRZEZ SEJM I SENAT RP

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polska i Polacy za Granicą 2024. Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być uznawana za oficjalny stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.





REDAKCJA

Joanna Majksner-Pińska

tel. +27 21 424 7144

kom. +27 83 330 9661

e-mail: joanna@musiccape.co.za

SPONSORZY

J. M. Piński, MusicScape, Ambasada RP w Pretorii,
Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana
Olszewskiego, J. W. Przybyłowicz

INFORMACJI w sprawie rocznej prenumeraty,
pojedynczych egzemplarzy, archiwum
oraz ogłoszeń i reklam udziela redakcja „Dwukropka”
joanna@musiccape.co.za

*Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa
Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy
za Granicą 2024. Publikacja wyraża jedynie poglądy
autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym
stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów*



W numerze:

KALENDARIUM

Pogańskie korzenie Wielkanocy	str. 4
Dzień Pamięci o Sprawiedliwych	str. 26

ROCZNICE

Kościół w Trzėsaczu	str. 9
Jan Dobraczyński	str. 12
Henryk Bista	str. 21
Krystyna Krahelska	str. 29
Jeremi Przybora	str. 32

KLUB BIBLIOFIŁA

Teatr muzyki współczesnej	str. 17
---------------------------	---------

SPACERKIEM PO HISTORII

Piramidy w Polsce	str. 27
-------------------	---------

oraz:

**INFORMACJE Z AMBASADY, GALERIA,
KĄCIK LITERACKI, HUMOR**

Projekt okładki: Marek Piński

WYDZIAŁ KONSULARNY AMBASADY RP W PRETORII

adres: 14 Amos Str., Colbyn,
PRETORIA 0083

telefony: +27 12 430 2631, +27 12 430 2632

faks: +27 12 430 2608

e-mail: konsulat.pretoria@msz.gov.pl

www.gov.pl/web/rpa

SENAT RP na patronów roku 2024 wybrał: Witolda
Gombrowicza, Czesława Miłosza, Wincentego Witosa
i Władysława Zamoyskiego.

Ustalono także, że obecny rok będzie też Rokiem Edu-
kacji Ekonomicznej.

SEJM RP rok 2024 ustanowił rokiem Marka Hłaski,
arcybiskupa Antoniego Baraniaka, Romualda Trau-
gutta, Wincentego Witosa, Kazimierza Wierzyńskiego,
Melchiora Wańkowicza, Rodziny Ulmów, Zygmunta
Miłkowskiego i Polskich Olimpijczyków.

Redakcja zastrzega sobie prawo do selekcji, skracania i korekty nadsyłanych tekstów oraz nie ponosi odpowiedzialności
za prezentowane w nich poglądy.



WESOŁYCH ŚWIĄT:
SMACZNEGO JAJKA,
MOKREGO ŚMIGUSA
DYNUSIA
ŻYCZY
REDAKCJA

Pogańskie korzenie Wielkanocy

DLACZEGO SZALONE MARCOWE ZAJĄCE ZNOSZĄ JAJA W WIELKANOC

Dawno, dawno temu całe królestwo zwierząt udało się na zebranie. Wszyscy byli podekscytowani, ponieważ zbliżało się wyjątkowe wydarzenie przyjeżdżał do nich bardzo szczególny gość. Bardzo Szczególnym Gościem była sama Bogini, a każde stworzenie chciało dać jej Bardzo Szczególny Prezent powitalny. Niektóre zwierzęta były bogate, a niektóre biedne, ale wszystkie wyruszyły, aby przygotować swoje dary, ponieważ uzgodniły, że ich Bogini zasługuje na to, co najlepsze. Zając był bardzo zaafektowany, kochał Boginię i chociaż był biedny, miał wielkie, hojne serce zamierzał dać jej najwspanialszy prezent, jaki znajdzie!

Pognał do domu i rozpoczął poszukiwania; zaglądał wszędzie, w szafki i pod łóżko, ale nic nie znalazł, nawet spiżarnia była pusta, nie miał absolutnie nic do zaoferowania. Poza jedną rzecz. Na półce w spiżarni leżało jedno jajko. To była jedyna rzecz, jaka mu pozostała. Delikatnie wyjął je ze spiżarni, pięknie udekorował i zabrał na przyjęcie. Po przybyciu na miejsce Zając bardzo się zmartwił, inne zwierzęta dawały w darach złoto, srebro albo drogie klejnoty. Gdy wszystkie prezenty zostały przekazane, nadeszła kolej Zająca. Bardzo

nieśmiało podarował Bogini udekorowane przez siebie jajko. Wzięła go na ręce, spojrzała na niego i zobaczyła jego prawdziwego ducha. I wtedy Bogini postanowiła wyznaczyć Zająca na swoje Bardzo Wyjątkowe Zwierzę ponieważ Zając, jako jedyny, oddał jej wszystko co miał.

Szczególny gość to Bogini Ęostre. Legenda mówi, że pewnego razu bogini wędrowała zimą po świecie i znalazła na śniegu rannego ptaka. Osłabiony umarłby na zimnie, bogini uzależniła się więc nad nim i zamieniła go w zająca, który pokryty ciepłym futerkiem, znacznie lepiej jest w stanie znieść zimowe chłody. Ptak w podzięce za uratowanie życia podarował bogini swoje ostatnie jajo i stał się jej wiernym towarzyszem. Jednak tęsknił za tym, co stracił: za unoszeniem się swobodnie w przestworzach nieba, budowaniem gniazd na czubkach drzew i za znoszeniem jaj. Ęostre widziała tęsknotę swojego towarzysza i by złagodzić jego cierpienia, pozwoliła mu raz w roku, w swoje święto, znosić jaja, a dodatkowo obdarzyła go wyjątkową szybkością, by i po ziemi mógł mknąć tak szybko jak po niebie. A na pamiątkę jego daru jajka znoszone przez niego w ten dzień są zawsze kolorowe.

Jak to się łączy z Wielkanocą, najważniejszym świętem chrześcijańskim?

Odpowiedź leży w pogańskim święcie pokonania mroku zimy i odnowy świata na wiosnę. Symbolicz-

na opowieść o śmierci słońca i jego odrodzeniu, pokonującym moce ciemności, była w przedchrześcijańskim świecie mocno eksploatowaną opowieścią.



POGAŃSKIE KORZENIE WIELKIEJ NOCY

Wielkanoc przypada w porze roku zwanej równonocą wiosenną, kiedy długość nocy na półkuli północnej jest równa długości dnia. Równonoc i przesilenie (najdłuższe i najkrótsze dni w roku) były celebrowane przez ludzi od tysięcy lat. Jedną z najstarszych cywilizacji świata - Sumerowie żyjący w południowej Mezopotamii (dzisiejszy południowy Irak), wypisali historię swojej bogini Ishtar na glinianej tabliczce jakieś dwa tysiące lat przed Chrystusem.

Historia głosi, że Ishtar zstąpiła do podziemi, aby odnaleźć swojego niedawno zmarłego męża. Tam została zabita, zanim została przywrócona do życia przez innych bogów. Pozwolono jej wrócić do świata jako słońce na sześć miesięcy, zanim musiała ponownie zejść do podziemia zimą na kolejne sześć miesięcy. Jest to prawdopodobnie pierwsza starożytna opowieść o zmartwychwstaniu

i odrodzeniu wraz z nadejściem wiosny. Urodzony 25 grudnia (sic!) Horus i jego uszkodzone oko stały się symbolami życia i odrodzenia w starożytnym Egipcie. Indoirański Mitra urodził się w dzień, który dzisiaj nazywamy Bożym Narodzeniem, a jego zwolennicy obchodzili równonoc wiosenną. Grecki Dionizos był boskim dzieckiem wskrzeszonym przez swoją babcię.

Wszystkie te opowieści łączy jedna idea - odnowa (rezurekcja) i światło pokonujące ciemność.

Gdy chrześcijaństwo zaczęło ogarniać Europę, wiele pogańskich świąt i obrzędów zostało wchłoniętych i dostosowanych do wiary chrześcijańskiej. Zakorzeniona w tradycji koncepcja świętowania nowego życia wiosną została powiązana z Jezusem, który pokonał śmierć i odrodził się. W ten sposób chrześcijaństwo pogodziło się z pogańskim świętem Wiosny, przesuwając je nieco w czasie tak, by pasowało do Zmartwychwstania Pańskiego. I chociaż w Nowym Testamencie nie znajdziemy opisów obchodów Wielkanocy, ojcowie wczesnego kościoła celebrowali ją, a dziś wiele kościołów odprawia Rezurekcję o wschodzie słońca, co w oczywisty sposób nawiązuje do pogańskiego święta ku czci Boga-Słońca.

SKĄD SIĘ WZIEŁA NAZWA WIELKANOC

Wielka Noc - tak kiedyś nazywano noc przesilenia wiosennego i świętowania nadejścia nowego cyklu rocznego, gdy odradzała się przyroda, a ziemia przygotowywała się do rodzenia plonów. Obchody odbywały się na cześć bogini wiosny i płodności Ęostre (stąd anglosaska nazwa Wielkanocy *Easter*). Wielkanoc nazywana jest również Paschą. Ta nazwa pochodzi od żydowskiego święta, upamiętniającego ocalenie narodu wybranego od egipskiej niewoli. Na Bliskim Wschodzie Paschę obchodzono jednak jeszcze wcześniej - wiele wieków przed naszą erą nazywane tak było święto związane ze stryżeniem owiec. W języku polskim nazwa świąt związana jest z równonocą wiosenną, Wielką Nocą, kiedy zaczyna się wiosna, a przyroda znów budzi się do życia. Nasi słowiańscy przodkowie odprawiali wtedy rytuały na cześć Jaryły - boga płodności i zwiastuna wiosny. Jare Gody, zwane też Jarym Świętem były dla Słowian jednym z najważniejszych wydarzeń, trwającym kilka dni. Jego celem było pożegnanie i przepędzenie resztek zimy oraz powitanie nadchodzącej wiosny niosącej nowe życie, a także zapewnienie sobie urodzaju w nowym roku wegetacyjnym.



WIELKANOC I RAMADAN - WPŁYW KSIĘŻYCA

Chrześcijaństwo i islam. Dwie potężne mono-teistyczne religie i najważniejsze ich święta Wielkanoc i Ramadan. Co je łączy?

Obydwa te święta są ruchome. Rozpoczęcie Wielkanocy i Ramadanu zmienia się co roku, a to dlatego, że wyznaczają je fazy księżyca, a nie konkretne daty. Wielkanoc przypada w niedzielę po pierwszej pełni księżyca po równonocy wiosennej, moment rozpoczęcia Ramadanu wyznacza z kolei pojawienie się na niebie półksiężyca w dziewiątym miesiącu kalendarza muzułmańskiego. Jak bardzo jest to pogańskie...

Takie skomplikowane wyznaczanie daty Wielkiej Nocy zostało ustalone w 325 roku podczas soboru nicejskiego. Ojcowie kościoła zdecydowali, że Wielkanoc będzie ruchoma dlatego, by... nigdy nie zbiegła się z żydowskim świętem Paschy. Postanowili, że chrześcijańska Pascha będzie obchodzona w pierwszą niedzielę po pierwszej pełni księżyca, podczas gdy żydowskie święto obchodzone jest w pełnię księżyca, 14 dnia miesiąca Nissan.

Pierwsi chrześcijanie nie obchodzili Wielkanocy. Ani w Nowym Testamencie, ani w pismach Ojców

apostolskich nie ma żadnej wzmianki o obchodzeniu Wielkanocy. Pogląd, że jakiś okres miałby być szczególnie święty, był obcy pierwszym chrześcijanom - napisano w Encyklopedii Britannica.

OSOBLIWE TRADYCJE WIELKANOCNE

Czarownice wielkanocne

Najważniejszym elementem fińskiej Niedzieli Palmowej są... czarownice. Tego dnia dzieci przebrane za czarownice wędrują z gałązkami wierzby od domu do domu, gdzie recytują specjalny wierszyk: *Virvon varvon tuoreeks terveeks tulevaks vuodeks, vitsa sulle, palkka mulle*. W zamian otrzymują łakocie lub pieniądze. Możemy postrzegać tradycję fińskich czarownic jako swego rodzaju pogańsko-chrześcijańską mieszankę: wierzba ma swoje wiosenne korzenie mocno zasadzone w czasach pogańskich, a czarownice reprezentują zło zrodzone przez zdradę Chrystusa w Wielki Czwartek przez Judasza.

Biczowanie Wielkanocne: Czechy i Słowacja

W Wielkanocny Poniedziałek u naszych południowych sąsiadów odbywa się biczowanie splecionymi wierzbowymi gałązkami, ozdobionymi kolorowymi wstążkami, nóg i pośladków kobiet. Nic dziwnego, że to mężczyźni wcielają się w rolę biczowników.

Celem tego batożenia jest zapewnienie wybrance szczęścia i płodności. Tradycja biczowania kobiet może wydawać się nieco seksistowska i barbarzyńska, ale mężczyźni robią to podobno delikatnie...



Czarownice wielkanocne

Wielkanocne smaganie i oblewanie wodą wywodzi się z prasłowiańskich praktyk obchodzonych przy nadejściu wiosny. Miało uzdrawiać, dostarczać siły witalne i wypędzać złe moce (duchy). Chrześcijaństwo przyjmując ten pogański zwyczaj, powiązało go z cierpieniem Jezusa Chrystusa, w trakcie drogi krzyżowej i zaczęło interpretować jako rodzaj umartwiania. Ciekawostka - w Wielki Poniedziałek Czesi biczują, a Polacy oblewają się wodą. Polski wyraz chłosta; oznacza bicz/biczowanie. Etymologicznie chłostać blisko jest słowa chłostać/chlustać, co dowodzi spójności oblewania ze smaganiem oraz wieloznaczności słowa zlać(polać wodą/zbić;)

Eksplozja wozu (Scoppio del Carro): Włochy

Można by poświęcić całą stronę wybrykom kochających zabawę Włochów w okresie Wielkanocy. Na przykład Bitwa pod Pomarańczami w Środę Popielcową, Karnawał w Wenecji przed Tłustym Wtorkiem lub Viareggio Carnevale na cztery tygodnie przed Wielkim Postem. Jednak Włosi jedną z najlepszych uroczystości na zachowali Niedzielę Wielkanocną. Początki Scoppio del Carro, czyli mniej romantycznej Eksplozji wozu,



Eksplozja wozu

sięgają 1099 roku, kiedy to młody Florentczyk imieniem Pazzino wrócił z wypraw krzyżowych z trzema krzemieniami z grobu świętego. Wydarzenie to zostało uznane za na tyle niezwykle, że zainspirowało dzisiejszą tętniącą życiem procesję ulicami Florencji do katedry, której kulminacją było zapalenie (prawdopodobnie pochodzące z oryginalnego krzemienia) rakiety w kształcie gołębia, dokładnie o godzinie 11 rano. Ogniasta rakietka w kształcie gołębia wylatuje z katedry i uderza w ozdobny, wypełniony fajerwerkami, wielopiętrowy wózek zaparkowany na zewnątrz na placu.

Kryminał Wielkanocny: Norwegia

Nie, nie w tym sensie, że mieszkańcy Norwegii dokonują masowych mordów. Dopada ich za to Wielkanocna narodowa obsesja konsumowania kryminałów (Påskekrim: *Påske* Wielkanoc i *krim* kryminał), która nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem ani pogaństwem. W rzeczywistości, jak na zjawisko, które zostało zainspirowane zaledwie około 100 lat temu, zafascynowało ono wyobraźnię opinii publicznej w niezwykle krótkim czasie. W 1923 roku w największej norweskiej gazecie obiegowej ukazał się nagłówek *Pociąg z Bergen splądrowany nocą*. Kraj ten ma jeden z najniższych wskaźników przestępczości na świecie, więc jego mieszkańcy byli zachwyceni tą historią. Jednak był to po prostu chwyt marketingowy wymyślony przez dwóch młodych autorów, Nordahla Griega i Nilsa Lie, aby sprzedać swoją najnowszą prawdziwą powieść kryminalną. Zadziałało, a potem zaczęło żyć własnym życiem.

Od tego czasu Norwegia, co rok w Wielkanoc żyje literaturą sensacyjną. Już dwa tygodnie przed Świętami gazety publikują swoje rankingi i zestawienia książek, po które warto w tym czasie sięgnąć, a wydawnictwa planują właśnie na ten czas premiery i promocje.

Powszechne jest też dawanie sobie kryminałów w prezencie, a ponieważ w Skandynawii wiosenna pogoda nie zwykła rozpieszczać (deszcz ze śniegiem na zmianę z gradobiciem), pomysł na zagospodarowanie kilku wolnych dni czytaniem wydaje się być wspaniałą alternatywą dla spacerów na wolnym powietrzu.

Krwawy Wielki Czwartek: Filipiny

Najbardziej krwawy zwyczaj wielkanocny obchodzony jest w najbardziej katolickim kraju w Azji. Mowa oczywiście o Filipinach.

W Wielki Czwartek na ulice miast wychodzą setki bosych mieszkańców, którzy niosą ciężkie drewniane krzyże. Jednocześnie ich plecy są biczowane aż do krwi. Taka procesja trwa od czterech do pięciu godzin - wiele osób mdleje z powodu wyczerpania i odniesionych ran. Odbywają się również ukrzyżowania, na które dobrowolnie zgłaszają się chętni. Chociaż Watykan patrzy na tę praktykę z dezaprobatą, co roku w Wielki Piątek aż dziewięć osób zgłasza się na ochotnika do ukrzyżowania w Barangay San Pedro Cutud w mieście San Fernando w Pampanga. Ta barbarzyńska tradycja

została zapoczątkowana w 1962 roku przez znachora, który twierdził, że jest w stanie leczyć chorych. Towarzyszą im dziesiątki mężczyzn i kilka kobiet, czołgających się na czworakach i biczujących się zastrzonymi bambusowymi laskami, wysysających krew w drodze na miejsce ukrzyżowania. Tam penitentom wbija się pięciocalowe gwoździe w dłonie i stopy na krzyż, gdzie pozostawia się ich na pięć do dziesięciu minut, zanim zostaną zdjęci. Rekordzista, miejscowy robotnik budowlany Ruben Enaje, został ukrzyżowany 33 razy.

superwnetrze.pl

Galeria



Rys. Tadeusz Krotos



Kościół w Trzęsaczu. Prosta historia i aż dwie legendy

2 marca 1874 roku – 147 lat temu – odbyło się ostatnie nabożeństwo w jednym z najokazalszych pomorskich kościołów gotyckich, pod wezwaniem św. Mikołaja. Po tej ostatniej mszy zdecydowano się zamknąć świątynię z uwagi na ogromne niebezpieczeństwo katastrofy. Wtedy odległość od systematycznie osuwającego się klifu wynosiła zaledwie jeden metr.

TRZĘSACZ NAD BAŁTYKIEM

Pomorze Zachodnie, gmina Rewal, część Pobrzeża Szczecińskiego na Morzem Bałtyckim – to tutaj znajduje się wieś Trzęsacz (nazwa polska). Jeszcze do 1945 roku nazywała się ona Hoff. Jej pierwsze nazwy, aż do końca XVIII wieku to Tom Have lub Thom Have. Polska nazwa wsi wiąże się z odczuciem trzęsienia ziemi w wyniku erozyjnych ruchów morza..., co w nauce nazywa się abrazją, w wierzeniach ludowych określone zostało mianem „trzęsacza” i jak podaje legenda: „Drżąca od fal ziemia dała nazwę wiosce - Trzęsacz”.

Tu właśnie 2 marca 1874 roku – 146 lat temu – odbyło się ostatnie nabożeństwo w jednym z najokazalszych pomorskich kościołów gotyckich, pod wezwaniem św. Mikołaja. Co dla ówczesnych mieszkańców Pomorza Bałtyckiego było okazałe i wielkie, dla nas

jest już niestety tylko pozostałością dawnej wspaniałości w postaci ruin, a dokładniej części ściany południowej kościoła. Po tej ostatniej mszy zdecydowano się zamknąć świątynię z uwagi na ogromne niebezpieczeństwo katastrofy. Wtedy odległość od systematycznie osuwającego się klifu wynosiła zaledwie 1 metr.

Do całkowitego zamknięcia doszło 2 sierpnia 1874 roku. Do tego czasu starano się zabezpieczyć całe wyposażenie kościoła, które przewieziono do katedry w Kamieniu Pomorskim – obecnie zachowały się głównie zabytkowe stalle. Zabytkowy ołtarz gotycki, część tryptyku w postaci szafy środkowej, znalazł swoje miejsce w Rewalu, a barokowa część ołtarza pozostała w Trzęsaczu, w nowo wybudowanym neogotyckim kościele Miłosierdzia Bożego. Pozostałe elementy wyposażenia zostały przeniesione do muzeów w Szczecinie i Berlinie. Niektóre z nich zaginęły po II wojnie – jeden z dzwonów (drugi przetopiono już wcześniej na armaty).

Wioska Trzęsacz założona została jeszcze w średniowieczu, w XII wieku, jako wioska rybacka z drewnianym kościółkiem w jej centralnym miejscu. Pierwsza pisemna wzmianka o niej datowana jest na rok 1331. Dowiadujemy się z niej o istniejącej już osadzie, w której niszczonej burzami drewniany kościół zastąpiono w 1270 roku murowanym. Ten też w końcu XIV wieku zamieniony został na okazałą gotycką budowlę, stojącą

prawie 2 kilometry od brzegu morza. Co wydawało się być trwałe i bezpieczne z biegiem lat okazało się być piękną zabytkową ruiną.

KOŚCIÓŁ ZNISZCZONY PRZEZ MORZE

Kościół św. Mikołaja był prawdziwie okazały. Zbudowano go na planie prostokąta i jak na niewielkie osiedle ludzkie był naprawdę duży. W pierwszym okresie służył katolikom, by po reformacji i sejmie trzebiatowskim w 1534 roku stać się świątynią ewangelicką. Wyposażenie kościoła, latami odnawiane i uzupełniane, dodawało mu rangi i piękna – były to renesansowe i barokowe ławy, pięknie zdobione stalle, ambona, chrzcielnica i ołtarz. W tym kościele “czuło się wielkość i powagę Boga - jak napisał jeden z pomorskich kronikarzy”.

Niestety, nam pozostaje jedynie monumentalny kawałek ruin i piękna historia – która wydaje się być niesamowitą opowieścią zmagania człowieka z siłami natury. Oczywiście już w wiekach wcześniejszych zauważono, że morze zbliża się ze swoją niszczycielską siłą do miejsca, gdzie na kamiennych fundamentach stanął kościół. Podejmowano próby opóźnienia erozji, ale wysiłki te nie przynosiły spodziewanego efektu..., w końcu najbardziej spodziewanym efektem było zawalenie się kościoła w znaczącej swojej części.

Walcę tę obrazują dwa kalendaria. Pierwsze mówi o zmniejszającej się odległości morza od kościoła, a drugie obrazuje historię ruin, mówiąc o tym, co i kiedy uległo zniszczeniu. Od XV wieku, kiedy linia brzegowa była w odległości prawie 2 kilometrów, latami mierzona, zbliżała się w szybkim tempie i w 1750 wynosiła już tylko 58 metrów, by sto lat później kościół od klifu dzieliło zaledwie niecałe 5 metrów.

Początek zniszczenia datuje się na 1891 rok, kiedy to odsłonięte zostały pierwsze kamienne fundamenty, w 1900 morze zabiera fragment przypory, a w nocy 9 marca 1901 powala ścianę północną kościoła. W 1930 roku stała już tylko ściana południowa, z południowo-zachodnim narożnikiem i przyporą oraz resztki prezbiterium. 1 lutego 1994 roku zagładzie ulega także część ściany południowej.

Zachowane ruiny, które możemy oglądać obecnie, są tylko niewielką pozostałością pięknego kościoła. Dopiero technika XXI wieku pozwoliła na odpowiednie zabezpieczenie tej części klifu przed erozją... nie wiadomo jednak jak długo.

LEGENDY I BAŚNIOWE WYJAŚNIENIA

Choć wedle podań – powstały dwie legendy – morze nie spocznie zanim nie odbierze Ziemi całego terenu dawnego kościoła. Z punktu widzenia geologów i ge-



ografów historia jest prosta i można ją całkowicie wyjaśnić właściwymi zjawiskami i mechanizmami przyrodniczymi. W podaniach ludowych, powstających latami, historię tę, te mechanizmy tłumaczono zgola inaczej, bardziej baśniowo i bardziej zrozumiale dla prostych ludzi, dla rybaków i ich rodzin.

Wedle jednego podania, tego “nowszeo”, mowa jest o: “rybaku, który nazywał się Każko. Był on bezgranicznie zakochany w jednej z kobiet mieszkających w wiosce - Ewce. Szczycący się niezwykłą odwagą chłopiec wyjechał na wojnę, gdzie został zabity podczas walki z Brandenburczykami. Ewka niedługo później umarła z żalu za ukochanym. Została pochowana tuż przy kościółku. Zakochani mają się połączyć, gdy budowla całkowicie runie do morza”.

Druga legenda, ta starsza, zdaje się być piękniejsza baśniowo i o wiele bardziej odpowiada strukturze mitu, w którym wszystko ma swój logiczny ciąg i jest osadzone w realnym świecie – to czyni z niego tak niesamowitą i fascynującą opowieść. Według niej rybacy z niewielkiej wioski “Upraszając sobie łaskę u władcy wód - Pluskona - wracali z połowów z pełnymi sieciami dorodnych ryb, które zapewniały byt całym rodzinom. Ryby nie były oczywiście jedynymi stworzeniami zamieszkującymi Bałtyk. W błękitnej toni żyły piękne syreny, które zamiast nóg miały rybi ogon pokryty srebrzystymi łuskami. Ludzie nazywali je Zielenicami”.



W dalszej części dowiadujemy się, że: “Mieszkańcy wioski traktowali syreny ze szczególnym szacunkiem i podziwem. Nie raz zdarzało się, że Żelienica zaplatała się w sieci rybackie. Wtedy rybacy ostrożnie uwalniali syrenę i pozwalali jej odpłynąć”.

Kiedy jednak na Pomorze dotarła chrystianizacja, a wraz z nią powstawały kościoły i przybywali księża całe otoczenie zmieniło swoje pogańskie oblicze na przynależne Bogu... także syreny według miejscowego księdza musiały zostać nawrócone i ochrzczone. Polecił zatem rybakom, by następnym razem nie uwalniali takowej załapanej w sieci, lecz przynieśli ją do kościoła.

Jak powiedział tak się stało: “Zdarzyło się więc pewnego razu, iż piękna panna z srebrzystym ogonem wpadła w sieci rybackie. Rybacy (...) wyłowili Żelenicę na łódź (...), a następnie zanieśli do kościoła. Nie pomogły płacz i błaganie pięknej syreny by wrzucili ją z powrotem do morza. W kościele ksiądz (...) ochrzcił syrenę. Żelienica jednak jako stworzenie morskie nie potrafiła żyć na lądzie i z godziny na godzinę opadała z sił. (...) Z tęsknoty za morzem Żelienica zmarła”.

Dalsze losy wydają się być dość oczywiste: “Gdy mieszkańcy chcieli wrzucić jej ciało z powrotem do morza, gdyż uważali iż nie należy ono do nich, ksiądz zdecydowanie zaoponował i postanowił pochować ją na przykościelnym cmentarzu jak każdego innego chrześcijanina. Tak też się stało. Gdy o całym zdarzeniu dowiedział się władca mórz - Pluskon - rozkazał Bałtykowi i jego falom tak długo bić o brzeg i zabierać go po trochu aż do momentu

odzyskania ciała Żelienicy. I tak przez lata Bałtyk zabierał ląd kawałek po kawałku, przesuwając brzeg coraz bliżej kościoła aż pochłonął i sam kościół”.

Piękna historia i piękna legenda. Tak oto w rozumieniu ludowym objawiają się prawdy naukowe... bo kto z tych rybaków rozumiałby zasady falowania mórz czy erozji, a baśń rozumiał każdy i każdy wiedział, że zdarzenia te są nieubłagane. Co dla nas nieubłaganie toczyło się latami, dla środowiska było chwilą jedynie..., wystarczy spojrzeć, ile tysięcy lat istnieje Bałtyk i jak mało czasu zajęło mu zabranie 2 kilometrów lądu.

źródło: Polskie Radio

KĄCIK LITERACKI

Krzysztof Rudziński

WIELKANOC

Wielkanoc się święci.
Śmierć śmierci się szczęści

Jan Dobraczyński

30. rocznica śmierci

Jan Dobraczyński urodził się 20 kwietnia 1910 r. w Warszawie. Jego ojciec Ludwik Antoni założył Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich oraz był sekretarzem generalnym Archikonfraterni Literackiej – bractwa istniejącego przy katedrze św. Jana.

W 1928 r. młody Dobraczyński rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, wkrótce jednak przeniósł się do Wyższej Szkoły Handlowej, którą ukończył w 1932 r. Związał się z chrześcijańską organizacją studencką „Juventus Christiana” (Młodzież Chrześcijańska). Służbę wojskową odbył w słynnej Szkole Podchorążych Kawalerii oraz w 7. Pułku Ułanów w Grudziądzu. Następnie pracował w opiece społecznej, początkowo w Warszawie, a potem w Lublinie, gdzie także prowadził wykłady zlecone na KUL. Wstąpił do Stronnictwa Narodowego, pisząc do m.in. do „Prosto z Mostu” i „Myśli Narodowej”.

W 1939 r. walczył w kampanii wrześniowej w 2. Pułku Strzelców Konnych. W czasie okupacji hitlerowskiej redagował czasopisma konspiracyjne i współpracował z Delegaturą Rządu na Kraj. Zatrudnił się w Wydziale Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego w Warszawie, dzięki czemu mógł wspomagać pracę Żegoty – Rady Pomocy Żydom. Uczestniczył w ratowaniu dzieci żydowskich, które pod fałszywymi nazwiskami kierował do zakładów opiekuńczych, często zakonnych. Otrzymał za to pod koniec życia medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Sam o swojej działalności pisał skromnie: „Nie chciałem uchodzić za bohatera. (...) Nie ja szukałem tych dzieci, nie ja je przewoziłem, nie ja sporządzałem fałszywe wywiady. Jaga Piotrowska lub inna z opiekunek wydziałowych wchodziła do mego gabinetu i dawała mi do podpisania papierek, który podpisywałem, najczęściej wcale go nie czytając. Jedynie z opowiadań opiekunek wiedziałem, że moje panie dokonywały niezwykłych czynów, wydobywając dzieci z jaskiń nor, szmuglując je z getta, przechowując w swoim domu i osobiście dowożąc do zakładu”.

Jednak gdyby sprawa wyszła na jaw, za choćby jeden złożony podpis mógł zostać przez Niemców rozstrzelany. Wspomniana Jadwiga Piotrowska szacowała, że Dobraczyński pomógł uratować około 300 dzieci. Z kolei według Ireny Sendlerowej z „Żegoty”, z którą również pisarz współpracował, uratowanych dzieci mogło być nawet 500.

Dobraczyński brał udział w Powstaniu Warszawskim jako



oficer AK, kierując Biurem Informacji i Propagandy początkowo na Starówce, a potem na Mokotowie. Po kapitulacji przebywał w niemieckich obozach jenieckich w Bergen-Belsen, a następnie w Grossborn i Sandbostel.

Po wojnie redagował tygodnik „Dziś i Jutro” i związał się ze Stowarzyszeniem „Pax”, z ramienia którego w 1952 r. został posłem na Sejm. Po przejęciu „Tygodnika Powszechnego” przez dziennikarzy „Pax”-u (1953-56) stał na czele rady redakcyjnej pisma. W 1956 r. wygłosił z trybuny sejmowej odważne przemówienie, w którym protestował przeciwko uchwaleniu ustawy zezwalającej na aborcję. Regularnie pisywał w „Słowie Powszechnym”, „Kierunkach” i „Wrocławskim Tygodniku Katolickim”. W 70. i 80. był członkiem polskich delegacji państwowych na uroczystości kościelne w Watykanie.

Pełnił wiele funkcji społecznych. Był m.in. wiceprezesem polskiego oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), wiceprzewodniczącym Rady Naczelnej Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD), członkiem Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Po wprowadzeniu stanu wojennego, w Wigilię 1981 r. wystąpił w telewizji nawołując do pojednania między władzą a społeczeństwem. Wkrótce stanął na czele Rady Krajowej

Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (1982-1989). W latach 1985-1989 ponownie był z ramienia „Pax”-u posłem na Sejm. Łączyła go zarówno zażyłość z kard. Stefanem Wyszyńskim, jak i znajomość z gen. Wojciechem Jaruzelskim. W 1988 r. otrzymał nominację generalską. Po 1989 r. nie angażował się w działalność polityczną. Zmarł w Warszawie 5 marca 1994 r.

PISARZ, SCENARZYSTA, TŁUMACZ

Jan Dobraczyński debiutował w 1933 r. artykułami i opowiadaniem, drukowanymi w czasopiśmie. W 1937 r. ukazała się jego pierwsza książka – studium krytycznoliterackie „Bernanos powieściopisarz”. Rok później powstała pierwsza powieść „Ottonowa obietnica”. W ciągu 50 lat pracy twórczej spod jego pióra wyszło ponad 70 książek. Popularność przyniosły mu powieści nawiązujące do tragicznych przeżyć wojennych: „W rozwalonym domu” i „Najeźdźcy”.

Jednak głównym motywem jego twórczości była wiara. Dał temu najpełniejszy wyraz w cyklu powieści biblijnych. Jako pierwsze ukazały się: „Wybrańcy gwiazd” o proroku Jeremiaszu, „Święty miecz” o Pawle Apostole, „Listy Nikodema” o Jezusie Chrystusie i „Pustynia” o Mojżeszu. Po wielu latach doszły do nich: „Cień Ojca” o św. Józefie, mająca już 12 wydań, i „Grom uderza po raz trzeci” o św. Janie Chrzcicielu.

Największą popularnością cieszyły się „Listy Nikodema”, w przejmujący sposób oddające dramat samego autora, zafascynowanego Chrystusem, a jednocześnie zmagającego się ze śmiertelną chorobą żony. Napisana w formie listów do przyjaciela książka ukazuje stopniową przemianę duchową ewangelicznego Nikodema, członka Sanhedrynu, który szuka wyjaśnienia sensu ludzkiego cierpienia i znajduje go krocząc śladami Chrystusa, obserwując czynione przez Niego cuda i stopniowo przyjmując Jego naukę. „Listy Nikodema” doczekały się kilkudziesięciu wydań polskich i zagranicznych w przekładach na kilkanaście języków, także azjatyckich i afrykańskich. Dzięki nim Dobraczyński, a także tłumaczeniom wielu innych swoich książek, był w drugiej połowie XX w. jednym z najbardziej znanych polskich pisarzy na świecie.

Pisał też powieści historyczne z życia Kościoła, m.in. „Klucz mądrości” o krzyżowcach, „Przyszedłem rozłączyć” o św. Elżbiecie Turyńskiej, „Niezwyciężona armada” o prześladowaniach katolików w XVI-wiecznej Anglii. Nieobce mu były jego współczesne problemy i troska o jego przyszłość – jeszcze przed Soborem Watykańskim II w książce „Wyczerpać morze” przewidywał, że na czele Kościoła stanie czarnoskóry papież. Wielką popularnością cieszył się napisany na zamówienie Prymasa Tysiąclecia zbiór opowiadań „Spotkania jasnogórskie”. Napisał też pięciotomową



I Kongres Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON)
-przemawia przewodniczący PRON pisarz Jan Dobraczyński

historię Kościoła ujętą w formę publicystycznej opowieści. Ogłaszał też zbiory publicystyki.

Nie unikał historii Polski, czego dowodem są takie powieści jak: „Kościół w Chochołowie” o powstaniu chłopskim, „Piąty akt” o Romualdzie Traugucie, „Bramy Lipska” o księciu Józefie Poniatowskim czy „...byśmy ten Pański dźwignęli świat” o Juliuszu Słowackim. Pisał o polskich świętych, m.in. o Andrzeju Boboli („Mocarz”) i – na długo przed jego kanonizacją – o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim („A to jest zwycięzca”).

Jego potoczny styl, pełen dialogów i wartka fabuła predestynowały jego twórczość do ekranizacji. Mawiano, że pisze gotowe scenariusze filmowe. Ostatecznie powstał tylko jeden film: „W cieniu nienawiści” na motywach opowiadania „Ewa”. Dobraczyński współtworzył też scenariusz do filmu „Miasteczko”, opartego na wątkach jego opowiadania „Odpust”. Wielką popularnością wśród młodzieży cieszył się serial telewizyjny „Karino” i film pod tym samym tytułem, których był współscenarzystą. Wspominał kiedyś, że nie zgodził się na ekranizację jednej ze swoich powieści, gdyż twórcy filmu chcieli uatrakcyjnić fabułę scenami erotycznymi.

Był także tłumaczem François’a Mauriaka (powieść „Pielgrzymi”) i pism św. Teresy od Dzieciątka Jezus, za co był mu bardzo wdzięczny kard. Wyszyński. Jego listy często otwierały kolejne wydania książek Dobraczyńskiego.

Wartość twórczości polskiego pisarza dostrzega przewodniczący Papieskiej Rady ds. Kultury kard. Gianfranco Ravasi. Przed dziesięciu laty na łamach watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano” wyznał, że z książkami Dobraczyńskiego zetknął się

jeszcze w liceum, dzięki włoskiemu wydaniu „Listów Nikodema”. Wysoko ocenił „Wybrańców gwiazd”, porównując tę biblijną powieść do „Józefa w Egipcie” Thomasa Manna.

CZAS OCZYSZCZENIA

W setną rocznicę urodzin pisarza powstało Towarzystwa Przyjaciół Jana Dobraczyńskiego, którego prezesem został jego wnuk, ks. Łukasz Kadziński. Tłumaczył on, że jego dziadka „ukszałtowała głęboka wiara, wyniesiona z rodziny zaangażowanej w życie Kościoła”. Swoją twórczość oddał „na potrzeby przedstawiania katolickiej moralności”. Drugim czynnikiem, który uformował myślenie pisarza była osoba i dzieło Romana Dmowskiego. „Jego «realizm polityczny», geopolitycyzm i patriotyzm w znacznej mierze stały za żywymi wyborami Dobraczyńskiego” – pisał na portalu internetowym jandobraczynski.pl.

Podkreślał, że życie pisarza z pozoru wydawało się pełne sprzeczności, kierowała nim jednak stała, konsekwentna idea, „która często prowadziła do dramatycznych, kontrowersyjnych wyborów”. – „Uczeń Dmowskiego, «polski antysemita», ratujący kilkaset dzieci żydowskich przed zagładą, AK-owiec, walczący w Powstaniu Warszawskim, działacz związany z Bolesławem Piaseckim, poseł na Sejm PRL, przewodniczący PRON-u; a przy tym w nieustannym kontakcie z kard. [Augustem] Hlondem, prymasem Wyszyńskim, w bliskiej, wręcz przyjacielskiej relacji z wieloma biskupami, jak np. [Zbigniew] Kraszewski, [Kazimierz] Majdański, [Władysław] Miziołek, kard. [Adam] Kozłowiecki. Pisarz głęboko katolicki, wręcz wyśmiewany, dla wielu banalny, za sposób ukazywania ludzkich dylematów w świetle wiary” – wyjaśniał ks. Kadziński.

Cytował też kard. Ravasiego, według którego Dobraczyński „wybrał drogę obrony wartości chrześcijańskich i roli Kościoła w ateistycznym państwie, poprzez zaangażowanie w życie polityczne”.

Wnuk pisarza ubolewał, że „Dobraczyński umierał zapomniany przez wielu. W obliczu wielkich przemian 1989 r. został jak balast odrzucony przez wszystkich. Nie otrzymał żadnej nagrody ani od odchodzącego reżimu, któremu, jak wielu mówi, służył, ani od nowych władz Polski, której poświęcił całe życie. Pisarz nie zasiadł przy Okrągłym Stole, nie dostał żadnych gratyfikacji. Odchodził powoli w zapomnienie, z trudem znosząc utratę wzroku i samotność, a wraz z nim w zapomnienie odchodziło całe pokolenie Polaków, z wielkim ciężarem swojego życia w duszy, chociaż nie ciężarem sumienia. Jak sam przeczuwał, Bóg dał mu taki czas, ku oczyszczeniu” – pisze ks. Kadziński. Do dziś dźwięczy w wielu uszach cicha prosba: „Przychodźcie do mnie, odwiedzajcie mnie”, którą żegnał osoby wychodzące z jego domu na Grochowie.

Swoją twórczością Dobraczyński ukszałtował wiarę kilku pokoleń katolików. Posiadał bowiem umiejętność wyjaśniania



w zadziwiająco prosty, a zarazem trafny i głęboki sposób złożonych prawd wiary, trudnych stronic Biblii i paradoksów ludzkiego istnienia.

Paweł Bieliński

KĄCIK LITERACKI

Wiesław Janusz Mikułski

W KRĘGU ŚWIĄT

dzielimy się
poświęconym
opłatkiem
jajkiem

czy zawsze
miłością ...

Wielka Sobota, 2013 r.



Fot. Karol Grabowski

KOMUNIKAT MSZ DOTYCZĄCY OSTRZEŻEŃ DLA PODRÓŻUJĄCYCH - MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH - PORTAL GOV.PL (WWW.GOV.PL)

Uprzejmie proszę o zapoznanie się z poniższym komunikatem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jeżeli mają Państwo kontakt z obywatelami polskimi przebywającymi lub planującymi pobyt w Republice Południowej Afryki i sąsiednich państwach, proszę o przekazanie tej informacji tym osobom.

KOMUNIKAT MSZ DOTYCZĄCY OSTRZEŻEŃ DLA PODRÓŻUJĄCYCH

17.02.2024

Co roku Polacy odbywają miliony podróży zagranicznych, w zdecydowanej większości bezpiecznych i bezproblemowych. Żadna podróż nie jest jednak pozbawiona ryzyka. Ostrzeżenia MSZ dla podróżujących służą temu, by naszych obywateli za granicą nie spotykały kłopoty, których można było uniknąć.

Zanim wybierzesz się w podróż, zawsze sprawdź Informacje dla podróżujących do kraju, który chcesz odwiedzić i zapoznaj się z aktualnymi informacjami dotyczącymi wjazdu i warunków pobytu.

W profilach krajów o poziomie bezpieczeństwa niższym niż w Polsce mogą znajdować się Ostrzeżenia dla podróżujących. Jeżeli miejsce (kraj lub region), do którego planujesz się wybrać, zostało objęte ostrzeżeniem MSZ – zastanów się, czy ta podróż na pewno jest konieczna. Jeśli boisz się o swoje zdrowie lub bezpieczeństwo, rozważ rezygnację z wycieczki lub wybierz inny kierunek wyjazdu. Pamiętaj jednak, że MSZ nie ma prawnych możliwości zakazania wyjazdu do jakiegokolwiek państwa, a wszelkie decyzje dotyczące podróży zagranicznych podejmujesz tylko i wyłącznie na własną odpowiedzialność.

Podróżując do miejsc o podwyższonym poziomie ryzyka lub do krajów, w których nie ma polskiej placówki dyplomatycznej, zawsze musisz liczyć się z tym, że pomoc, jakiej może udzielić na miejscu konsul w sytuacji kryzysowej, bywa bardzo ograniczona. Wszelkie działania ratunkowe za granicą są podejmowane przez odpowiednie miejscowe służby, a ich skuteczność może być zupełnie inna niż w Polsce.

Wyjeżdżając na wczasy lub wycieczkę z biurem podróży, pamiętaj, że za Twoje bezpieczeństwo oraz powrót do kraju odpowiada w pierwszej kolejności organizator imprezy turystycznej. Niezależnie od tego, MSZ zawsze rekomenduje wykupienie ubezpieczenia podróżnego dopasowanego do indywidualnych potrzeb i planów wakacyjnych, obejmującego ponadto koszty transportu medycznego.

W dobie mobilności, powszechnej dostępności świata, ale i w obliczu rosnących zagrożeń dla bezpieczeństwa podróżujących, apelujemy o podejmowanie rozsądnych decyzji przy planowaniu wszelkich podróży zagranicznych.

Więcej informacji na stronach:

MSZ – Informacje dla podróżujących

Jak przygotować się do podróży zagranicznej?

Jakiej pomocy może udzielić konsul?

Z poważaniem,
Robert Rusiecki
Kierownik Wydziału Konsularnego
Ambasada RP w Pretorii
14 Amos Street
0083 Pretoria
Tel: +27 12 430 2621
Email: robert.rusiecki@msz.gov.pl
<https://www.gov.pl/web/rpa>

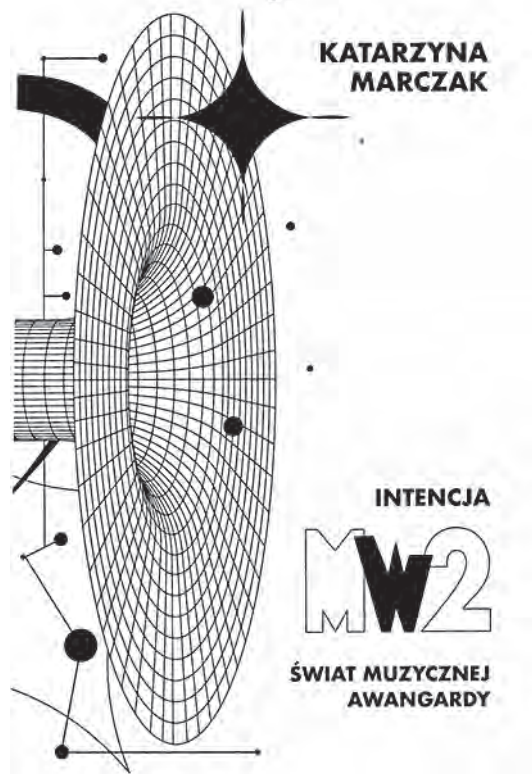
Teatr muzyki współczesnej

Maciej Pinkwart

Kiedy kierowałem zakopiańską „Atmą”, organizowałem i prowadziłem koncerty, no i z tego powodu miałem bardzo wielu znajomych muzyków. Niektórych nawet uważałem za przyjaciół: odwiedzaliśmy się, piliśmy wódeczkę, chodziliśmy po Tatrach. Kiedy przestałem pracować w muzeum, prawie wszyscy znikli z horyzontu. Jakoś mnie to nie zdziwiło. Ale muzyka – a poniekąd także muzycy – nadal byli mi bliscy. Każda książka o współczesnej polskiej muzyce i muzykach była w pewien sposób jakby przewodnikiem po terytorium choć trochę mi znanym. Ale nie w tym przypadku.

Czy można opisać muzykę? Bardzo wiele osób tego próbowało, z różnym skutkiem. A czy można zagrać literaturę? No, próby tego typu też były – choćby w tzw. muzyce programowej, ale i w jednym, i w drugim przypadku było to raczej oddawanie właściwych sztuce emocji, mniej zaś odzwierciedlenie treści i formy. To ostatnie lepiej udaje się na gruncie plastyki: możemy napisać, co na obrazie się znajduje, można nazwać kolory – ale jak je przedstawimy daltonistom? Można przytoczyć anegdotę dotyczącą twórcy czy też zwrócić uwagę i zinterpretować mało widoczne na obrazie szczegóły (jak opowiadki historyków sztuki o obrazie *Małżeństwo Arnolfinich* Jana van Eycka) – ale to ciągle będzie opowiadanie o *czymś*, a nie zapis *czegoś*. Najłatwiej jest wykazać organiczny związek muzyki z teatrem, ale ci, którzy w tym momencie pomyślą o ilustracji muzycznej sztuki, o operze czy musicalu – poszli na skróty, bo rzecz jest i dawniejsza, i bardziej złożona. O wymiennosci czy komplementarności ról muzyków i aktorów możemy przekonać się oglądając rysunki staroegipskie, śledząc opisy religijnych misterii odgrywanych na dziedzińcach (*parvis*) średniowiecznych kościołów, podziwiając dzieła Hieronima Boscha czy – *mutatis mutandis* – oglądając góralskie obrazki na szkle i czytając Witkiewiczowskie opisy górskich wypraw z udziałem Sabaly i innych ludowych muzykantów.

Ta teatralność muzyki szczególnie mnie zafrapowała w czasie (krótkim, przynajmniej), gdy byłem entuzjastą muzyki nowoczesnej, którą starannie odróżniałem od tzw. muzyki młodzieżowej – w moim przypadku, rodem z Radia Luxembourg. Jak wszyscy w moim pokoleniu szukałem nowoczesności po to by przeciwstawić się temu co jest, a przede wszystkim temu, co było. Na koncerty „Warszawskiej Jesieni” w czasach studenckich chodziłem jednak głównie ze snobizmu, zaprawionego sosem bezpiecznego buntu przeciwko przaśnej rzeczywistości. Muzyka tam prezentowana nie podobała mi się w żaden sposób, ale kiedy zacząłem patrzeć na to, co się na estradach dzieje pod kątem teatralności występów – *widziałem tę muzykę* zupełnie inaczej. Pewno dlatego, że teatr był wówczas moją największą pasją. Po latach, jako kustosz muzeum Szymanowskiego, niejako z urzędu musiałem choć trochę nowoczesność muzyczną zaaprobować, zwłaszcza że, jak



wspominałem, przyjaźniłem się wówczas z wieloma muzykami. Z racji dawnych sentymentów było to przede wszystkim środowisko warszawskie, związane z PWSM, potem – Akademią Muzyczną. Potem, z racji geograficznego położenia Atmy – środowisko krakowskie.

Jak się okazuje, choć z Zakopanego do Krakowa miałem znacznie bliżej – o muzyce współczesnej powstającej pod Wawelem widziałem niewiele, a w każdym razie mniej niż o nowoczesności w Warszawie, Nowym Jorku czy Atenach. Sporo wiedziałem o warszawskim zespole Warsztat Muzyczny, założonym i prowadzonym przez kompozytora i pianistę Zygmunta Krauzego. Pewno dlatego, że Krauze był najbliższym sąsiadem mojego wielkiego przyjaciela, dziennikarza i krytyka muzycznego, współinicjatora utworzenia Muzeum Szymanowskiego – Zdzisława Sierpińskiego. O działającym równolegle w Krakowie zespole MW2, założonym i prowadzonym przez Adama Kaczyńskiego – nie wiedziałem prawie nic. A jeśli nawet – to dochodziły do mnie informacje o działalności Młodych Wykonawców Muzyki Współczesnej (stąd akronim MW2) z pers-

pektywy znanego mi Bogusława Schäffera, którego relacje z Kaczyńskim były, powiedzmy, skomplikowane.

Dlatego też z wielką przyjemnością zabrałem się do czytania książki, będącej monografią działalności krakowskiego zespołu. To, że lektura będzie dla ciekawa, wiedziałem ze względu na osobę autorki: Katarzyna Marczak jest muzykiem, była przez jakiś czas związana z MW2, jest także cenioną autorką książek (m.in. biografie Kai Danczowskiej i Eugenii Umińskiej) i artykułów publicystycznych, tłumaczką (Roger Scruton, *Muzyka jest ważna*) – ponadto, jest magistrem sztuki na dwóch wydziałach Akademii Muzycznej w Krakowie (klarnet, teoria muzyki) oraz doktorem na University of British Columbia w Vancouver (muzyka współczesna). Jest także pedagogiem muzycznym.

Czyta się świetnie, bo książka jest po prostu bardzo dobrze napisana (nie powiem, że jak pasjonujący kryminał, ale na pewno jak ciekawa powieść) i pewno lektura zajęłaby mi zaledwie parę dni, gdyby nie to, że opisywane w niej dzieje zespołu Adama Kaczyńskiego wywołują we mnie potrzebę dygresyjnego wybiegania myślą poza główny temat. Także – w stronę mojego własnego podejścia do nowoczesności w sztuce. Jeśli tzw. współczesność w plastyce zaakceptowałem bez większych problemów (choć – przyznaję – kilkakrotnie po wyjściu z paryskiego Centre Pompidou pędziłem na detoks do Luwru i Musée d'Orsay...) – to akceptacja współczesności w literaturze już przychodziła mi trochę gorzej (od Joyce'a do Houellebecq'a).

Jeśli chodzi o współczesność w muzyce – musiałem ją najpierw poznać i wydaje mi się że poznałem ją źle. Otóż ze współczesnej muzyki akceptowałem najbardziej jej teatralność i mocno przerysowane próby łamania konwenansów. A z tą artystyczną destrukcją zawsze w sztuce trzeba uważać: najczęściej łamie się formę zewnętrzną, zapominając o tym, że sztuka nie musi niczego opowiadać, ale zawsze powinna wywoływać emocje: nieważne, czy pozytywne, czy negatywne. Gdyby prawykonanie *Święta wiosny* Strawińskiego w paryskim Théâtre des Champs-Élysées w 1913 r. przyjęto z elegancką aprobatą, mało kto by teraz o tym pamiętał. Jeśli chcąc zaprotestować przeciwko Matejce rozbijemy ramy *Bitwy pod Grunwaldem*, podrzemy płótno na małe kawałki i z nich potem sklejamy coś zupełnie nowego – to, czy nam się to podoba, czy nie – jesteśmy paradoksalnymi epigonami Matejki... Ale gdy do zapisu partytury muzycznej wykorzystamy zupełnie nowe formy plastyczne (w których nut albo wcale nie ma, albo są w wersji szczątkowej czy zdeformowanej) – to zaczyna być ciekawie. Ale ciekawie raczej dla wykonawców takiej muzyki, niż dla słuchaczy (widzów?), bo rzadko kto poza muzykologami śledzi wykonanie utworu z partyturą w rękę – choć pamiętam takiego bywalca Atmy, który na koncertach siadał w pierwszym rzędzie i starannie wypiełgnowanym długim

paznokciem małego palca ciągnął po pięciolinii niejako sprawdzając, czy wykonawca nie okradł kompozytora z jakichś nut...

Nowoczesny, graficzny zapis materiału dźwiękowego w muzycznym performance fascynował mnie od momentu, kiedy zobaczyłem pierwsze publikacje w tej dziedzinie (Stockhausen, Xenakis, Schäffer, Cage). Niektórym (Cage) blisko było do dzieł plastycznych Jacksona Pollocka, Marcela Duchampa czy Alexandra Caldera. Zresztą te inspiracje nieobce były także muzykom z MW2 – głównie dzięki współpracy z Schäfferem. Jednakże do publiczności docierały przede wszystkim eksperymenty teatralizujące wykonawstwo muzyki, jej improwizacyjną – choć ograniczoną – zamierzeniami kompozytora – dowolność i przejście na stronę ulotnego happeningu.

Ulotnego? No, niestety... Sztuka współczesna żyje chwilą i to ją zbliża do teatru z epoki *przedwideojestracyjnej*. Jeśli współczesna plastyczka siada nago przed czymś w rodzaju rzeźby, obiera ziemniaki, a przed nią przebiegają muzycy, rozbijający sobie na głowach gitary – jest to niewątpliwie sztuka, o której można dyskutować, ale która niejako kończy się w momencie, gdy ziemniaki zostaną obrane, gitary rozbite, a przeciąg w sali wystawowej skłoni artystkę do ubrania się. Ale czyż nie było tak samo w momencie, gdy zgaszono ostatnią świecę po przedstawieniu w Globe Theatre, a zmęczony William wszedł na bryczkę i ruszył do domu? Gdy harfistka, lutnistka i flecistka umilające biesiadę na dworze Amenemchata III otuliły się opończami i poszły w głąb świątyni? Gdy paleolityczny łucznik, zanim wystrzelił kolejną strzałę usłyszał, że potrącona cięciwa wydaje dźwięk i zagrał na niej ponownie, już celowo?

I wszystko to rozplywało się w powietrzu i znikало w oceanie niepamięci do czasu, gdy widz – muzyk – aktor – wyposażył się w kamerę czy telefon i ulotną sztukę zmienił w wideoklip. Coś uleciało w dal? Coś zostało z nami na zawsze?

Czy warto poznawać muzykę, która w większym stopniu jest teatrem, niż sztuką opanowywania chaosu dźwiękowego i przekształcania go w zorganizowany hałas? Cóż – pewno nie zawsze warto. Halina Czerny-Stefańska powiedziała mi kiedyś, że dla niej muzyka skończyła się ze śmiercią Prokofiewa. Inni powiedzą, że gdy umarł Freddie Mercury, zawałił się ich świat muzyczny. Ale to nieprawda, świat się nie zawałił i nie zawała, ziemia kręci się dalej. Oczywiście, można zyskiwać aplauz odtwarzając piosenki Freddiego, zachwycając się baletem *Romeo i Julia* Prokofiewa czy pogwizdując pierwsze takty *Czter-*

dziesiątej Mozarta. Ba! Byłem kiedyś na koncercie w Zakopanem, na którym pewien młody kompozytor przedstawiał swoje utwory *w stylu Mozarta*, skomponowane na przełomie XX i XXI wieku. Można, oczywiście, tylko po co? Cytowany przez Katarzynę Marczak kierownik zespołu MW2, Adam Kaczyński miał podobne spostrzeżenie: *Jeśli mam słuchać podrobionego Mahlera, to wolę prawdziwego*.

Nawet ci, którzy – jak mówią – *nie znają się* na współczesnej muzyce, teatrze czy sztuce – mogą, ze zwykłej potrzeby odkrycia czegoś nowego, sięgnąć po tę książkę, żeby zajrzeć do tego świata, którego symbolem był zespół MW2. Świata, który – jak się wydaje – odszedł już do krainy wczoraj, ale nie powinien zaginać w krainie niepamięci. Jeśli nawet akceptujemy żelazną logikę inżyniera Mamonia i podoba się nam tylko to, co już znamy – warto czasem skonfrontować się z tym, czego nie znamy, choćby po to, żeby stwierdzić, że się coś nam nie podoba. Zawsze się zastanawiam, czy wyimaginowany podróżnik z rzekomo średniowiecznego (a faktycznie XIX-wiecznego) drzeworytu, który dotarł do końca świata i wsadził głowę w odgradzającą nas od kosmosu zasłonę – czyniłby to po to, żeby odnaleźć tam coś, co już zna i mu się podoba? Czy z potrzeby skonfrontowania się z nieznanym?

W książce jest mnóstwo postaci z krakowskiego świata muzycznego (brak indeksu nazwisk!), w tym wiele osób

mi znanych, o których nie wiedziałem, że zajrzeli na dłużej lub krócej do przestrzeni muzycznej awangardy. Brak mi trochę szerszego tła, okoliczności społecznych i kontrowersji artystycznych Krakowa, ale zdaję sobie sprawę z tego, że wówczas książka rozrosła by się do znacznie większych rozmiarów, a polskie piekielko rozdarłoby na autorkę swoją bynajmniej nieartystyczną japę. Czepiam się też ilustracji – czarno białe, oczywiście, to naturalne – ale są według mnie za małe, zwłaszcza te, które pokazują tak ważne i ciekawe graficznie fragmenty partytur utworów wykonywanych przez MW2. I tu, zapewne, decydował nie zamiar grafika, tylko realizm księgowego.

Po *Bibliografii*, w *Aneksie* – autorka umieściła listę wszystkich udokumentowanych pozycji repertuarowych Ensemble MW2, listę utworów prawykonywanych przez MW2, listę utworów dedykowanych zespołowi lub pisanych na jego zamówienie, spis festiwalu, na których zespół występował oraz wykaz osób współpracujących z MW2 (116 pozycji!).

Katarzyna Marczak, *Intencja MW2. Świat muzycznej awangardy*, wydawca Fundacja inCanto, Kraków 2023, 336 stron.

KĄCIK LITERACKI

Andrzej Brochocki

MIĘDZY NUTAMI

twierdzisz chyba Janie Sebastianie
że porywcość moja nie popłaca
lepiej spojrzeć wstecz popołudniem
nad słuchując kroków ukrytych
gdzieś w tej arii na strunie G

Fryderyku karcisz mnie za spokój
z jakim słucham walca Minute
chciałbyś porwać mnie nim do tańca
nie pochwalasz że nie wiruję
że nie jestem tym molto vivace

czemu twierdzisz mój drogi Ludwigu
że wciąż dalej mi do Europy
Eroica nam pisana nie dziewiąta
nie ma skrótu do niej przez Ardeny
wyschła dawno rzeka Allegro

tak niezmiennie mnie to zaszczycza
że w tych waszych dur moll prestissimo
wspominacie łaskawie i o mnie
że sądzicie mnie między nutami
raz na szafot czasem na tron

marzec 2023 r.



Agnieszka Lipska: Binti, córka łowcy

Henryk Bista

90. rocznica urodzin

Henryk Bista mógł zagrać wszystko – analityk, pedant, aktor, który pracował jak matematyk – pisał historyk teatru prof. Jan Ciechowicz. Nazywano go “mistrzem epizodu” i “aktorem-kameleonem”. Bista w teatrze i filmach zagrał ponad 250 ról. Urodził się 12 marca 1934 r. w Kochłowicach.

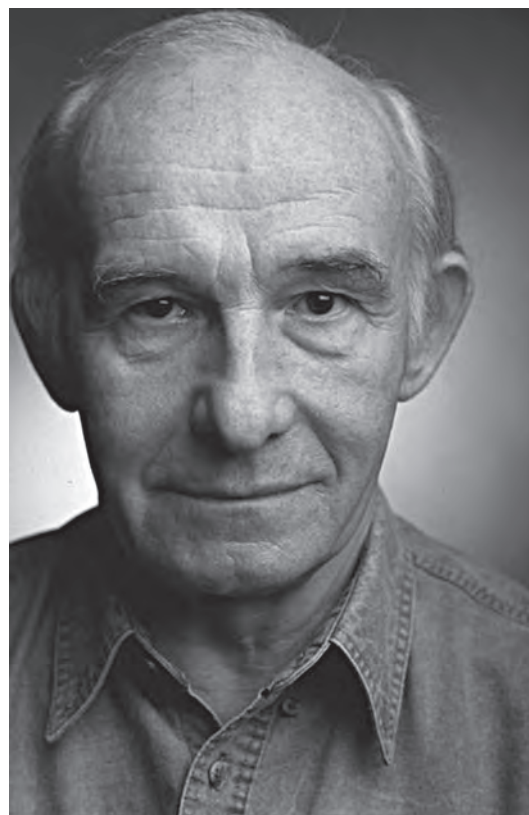
Henryk Bista - pamiętny Senator w “Lawie” Tadeusz Konwickiego i Wielki Elektronik w filmach o Panu Kleksie, którego określono mianem “geniusza zła”. Był niekwestionowanym mistrzem drugiego planu. Współpracował m.in. z Jerzym Kawalerowiczem, Krzysztofem Kieślowskim i Stevenem Spielbergiem.

“Bista mógł zagrać właściwie wszystko. Analityk, pedant, aktor, który pracował jak matematyk. Chciałbym przypomnieć, że to właśnie Henryk Bista, który bynajmniej urodą nie grzeszył, wcielił się w rolę Gustawa-Konrada w słynnych gdańskich ‘Dziadach’ w reżyserii Macieja Prusa z 1979 r. A było to przedstawienie, o którym można powiedzieć językiem Goethego - ‘nadchodzące wydarzenia rzucają cień’. Trzy i pół godziny, bez przerwy” – wspominał historyk teatru prof. Jan Ciechowicz w “Dzienniku Bałtyckim” w 2015 r.

Był tytanem pracy. Jego dorobek obejmuje ok. 150 pełnometrażowych fabułek (w tym wiele zagranicznych), ponad 30 seriali, 150 ról teatralnych, 125 spektakli Teatru Telewizji. Przez 30 lat był jednym z filarów Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Na okładce tomu “Pół wieku Teatru Wybrzeże” obok Cybulskiego i Haliny Winiarskiej widnieje także twarz Henryka Bisty.

Z pochodzenia był Ślązakiem. Urodził się 12 marca 1934 r. w Kochłowicach (dziś dzielnica Rudy Śląskiej). Dziś przypomina o tym tablica na ścianie jego rodzinnego domu przy ulicy Radoszowskiej 167.

Nie od razu wybrał karierę artystyczną. Początkowo studiował architekturę na Politechnice Warszawskiej. Myślał o reżyserii. Gdy okazało się, że nim podejmie naukę tego zawodu, najpierw musi mieć ukończone inne studia - zdał na Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. A. Zelwerowicza w Warszawie. Po zdobyciu dyplomu aktora w 1958 r. - rolami Lokaja i Teofila w spektaklu “Głupi Jakub” Rittnera - zadebiutował rolą



Arlekina w “Lekarzu mimo woli” Moliera w reż. Jerzego Rakowieckiego na deskach warszawskiego Teatru Ateneum im. S. Jaracza.

W Ateneum grywał do 1960 r., później przez dwa lata występował w Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie. Zagrał tam m.in. Johna Worthinga w “Bracie marnotrawnym” Wilde’a (1961) i Waltera w “Operze za trzy grosze” Brechta (1962).

W tym też roku związał się z gdańskim Teatrem Wybrzeże. A tak po prawdzie – to ściągnął go tam Zygmunt Huebner. Jak wspominał Jan Niemaszek w “Super Nowościach” z 2013 r.:

“W 1958 Zygmunt Huebner został dyrektorem artystycznym gdańskiej sceny (dyrektorem naczelnym był wtedy Antoni Biliczak). Choć funkcję pełnił zaledwie do 1960 r., sprawił, że nieco prowincjonalne wówczas Wybrzeże stało się jedną z najważniejszych scen w kraju. Huebner stworzył świetny zespół aktorski; dzięki niemu zadebiutowali na profesjonalnej scenie - i to w podwójnej roli aktorów oraz reżyserów - Zbigniew Cybulski i Bogumił Kobiela, do Gdańska przytaczał też Zdzisława Maklakiewicza czy Henryka Bistę”.

Początkowo grywał w przedstawieniach Kazimierza Brauna (np. Walerego w „Skąpcu” Moliera, 1963) i Jerzego Golińskiego, m.in. Edmunda Mortimera w „Królu Henryku IV” Szekspira (1963), Don Pedra w „Wiele hałasu o nic” Szekspira (1966). Uznanie zdobył w 1968 r. rolą Łazarza w „Tragedii o bogaczu i Łazarzu” - inscenizacji Tadeusza Minca XVI-wiecznego tekstu Anonima Gdańskiego.

„Był mistrzem szczegółu dopracowanego do perfekcji. Jego intonacje, pauzy, mimika i sposób poruszania się na scenie sprawiały wrażenie precyzyjnie wystudowanych. A równocześnie zachowywał pełną naturalność, wedle sformułowania Stanisławskiego nie grał postaci, lecz się nią stawał” – pisała o aktorze Lidia Górską w „Dialogu” (1998).

Za swoją przełomową rolę Henryk Bista uważał kreację Jagona w Szekspirowskim „Otellu” w reż. Marka Okopińskiego (1973). „Rola Bisty uczyniła z ‘Otella’, granego zwykle jako studium zazdrości – studium zła” – ocenił Andrzej Żurowski na łamach „Teatru” w 1977 r. Dodawał: „Ten Jagon zdecydowanie górował intelektualnie nad resztą bohaterów - na nich sprawdzał swą ideologię, koncepcję działania, u której podstaw - bardziej niż cynizm - znajdował się wieloznaczny stosunek do Desdemony. Tak pomyślany Jagon przestawał być szablonem psychopatologicznego ‘czarnego bohatera’ – stawał się wielowymiarowy, psychicznie skomplikowany”.

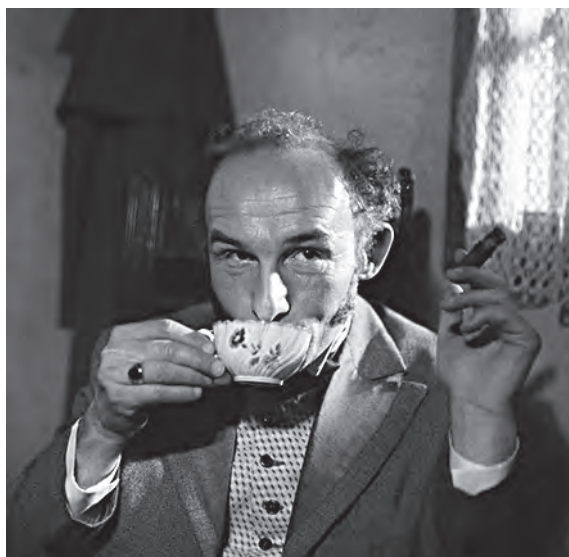
Drugi z aktorskich filarów Teatru Wybrzeże – i sceniczny konkurent Bisty – Stanisław Michalski wspominał: „Kłękę poniosłem grając Otella. Heniek był Jagonem. Rola szła dwadzieścia metrów za mną, a Henryk ‘zamiatał’ mną po scenie’. Jeden z recenzentów napisał: ‘Jak miał ten biedny Michalski walczyć z facetem, który trzyma żyłkę w ręku i tnie po oczach’” („Polska Dziennik Bałtycki” z 2008 r.).

W 1977 r. Bista kreował Lucyfera w „Samuelu Zborowskim” Słowackiego w reżyserii popularnego Stulka, czyli Stanisława Hebanowskiego.

Na teatralnych deskach grywał role pierwszoplanowe, tworząc znakomite kreacje zarówno w klasyce, m.in. dramatach Szekspira, Mickiewicza czy Słowackiego, jak i w repertuarze współczesnym (w 1971 r. był Adwokatem w „Małej Alicji” Albee’ego, a w 1972 r. - Milosem w „Cmentarzysku samochodów” Arrabala i Reżyserem w „Naszym mieście” Wildera).

W 1980 r. stworzył wybitną rolę Robespierrea w „Sprawie Dantona” Stanisławy Przybyszewskiej w inscenizacji Andrzeja Wajdy i reżyserii Macieja Karpińskiego.

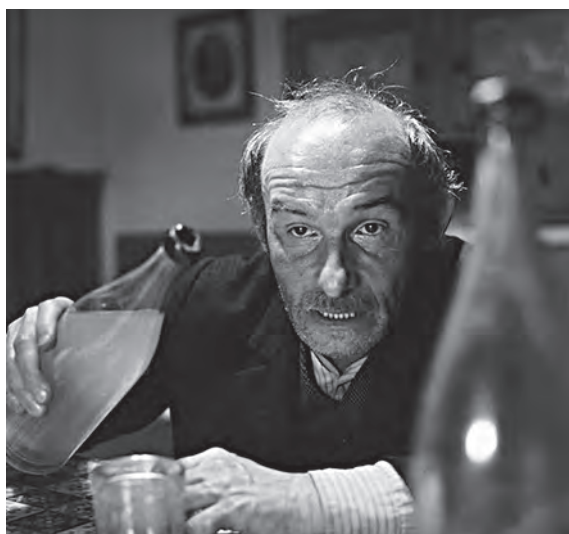
Zgarniał kolejne nagrody za swój kunszt aktorski, zwłaszcza w Toruniu. Był bowiem wielokrotnie nagradzany na Festiwalu Teatrów Polski Północnej - w la-



Henryk Bista w filmie „Placówka” w reżyserii Zygmunta Skoniecznego, 1979



Henryk Bista w filmie „Akademia Pana Kleksa” w reżyserii Krzysztofa Gradowskiego, 1983



Henryk Bista w filmie „Nie było słońca tej wiosny” w reżyserii Juliusza Janickiego, 1983

tach 1969, 1975, 1977, 1983 i 1988. W 1981 r. wyjechał z Torunia z nagrodą specjalną redakcji "Nowości" - Kartę - właśnie za rolę Robespierre'a w "Sprawie Dantona". W 1982 r. zagrał Papkina w "Zemście" Fredry w reż. Hebanowskiego. Wykreował go "naiwnego jak dziecko i stwarzającego sobie własny świat iluzji. Ten Papkin wierzył nawet w to, że pozyska miłość Klary" - oceniała Lidia Górska.

Po śmierci swojego reżysera i ulubionego dyrektora Stanisława Hebanowskiego oddał mu... ostatnią posługę. "Niebawem doszła do mnie informacja, że biednego Stulka pomagali zagrzać Krzysztof Gordon wspólnie z Henrykiem Bistą. Grabarz był bowiem mocno niedysponowany. Stulkowi z pewnością podobałby się taki pogrzeb. Nareszcie dotknął absolutu..." - wspominał Jan Niemaszek.

W 1992 r. aktor powrócił do Warszawy i do śmierci pracował w zespole Teatru Współczesnego. Chętnie kreował postaci komediowe lub takie, którym nadawał komediowy ton. Tacy byli m.in. Isidor w "Awanturze w Chioggi" Goldoniego (1993) i Prezes w "Martwych duszach" Gogola (1995) - przedstawieniach wyreżyserowanych przez Macieja Englerta.

"Z wyrazistym przerysowaniem zagrał także jedną ze swoich ostatnich ról - Człowieka w 'Ambasadorze' Sławomira Mrożka w reż. Erwina Axera (1995)" - oceniała Monika Mokrzycka-Pokora w "Culture.pl".

Henryk Bista szerokiej publiczności był i jest znany przede wszystkim jako aktor filmowy i telewizyjny. Wprawdzie już pod koniec lat 50. XX w. pojawił się jako Marynarz w obsadzie słynnego "Orła" Leonarda Buczkowskiego, jednak za "prawdziwy debiut filmowy" aktora uważa się jego rolę mata Józka w filmie sensacyjno-psychologicznym Pawła Komorowskiego "Ostatni po Bogu" (1968).

Każda jego kreacja była prawdziwą perełką, dopracowaną w najmniejszym szczególe do perfekcji. Wystarczała mu krótka scena, żeby pokazać, kim jest jego bohater, nadać postaci wielowymiarowość. Nazywany był aktorem-kameleonem.

Bista nie ukrywał, że nie chce się zbyt często pojawiać na ekranie jako główny bohater. Uważał, że "charakterystyczne role drugoplanowe są o wiele bardziej znaczące jako materiał dla aktora". "To bardzo wielka umiejętność pokazać w jednym błysku, czasem w jednej krótkiej scenie, skondensowanymi środkami całą prawdę o granej postaci" - mówił o Biscie Maciej Englert w "Teatrze" w 1997 r. I dodawał: "Trzeba do tego nie tylko wielkiej wyobraźni, ale i olbrzymiej techniki".

"Zazwyczaj były to role drugoplanowe lub epizody, jak świetny Lovenstein w 'Liście Schindlera' Stevena Spiel-



Henryk Bista w filmie "Dwa księżycy" w reżyserii Andrzeja Barańskiego, 1993



Kadr z filmu "Wierna rzeka" w reżyserii Tadeusza Chmielewskiego, 1983. Na zdjęciu: Małgorzata Pieczyńska i Henryk Bista



Kadr z filmu "Sonata marymoncka" w reżyserii Jerzego Ridana, 1987. Na zdjęciu: Henryk Bista i Marek Lewandowski

berga (1993). Jego filmowe dossier zawiera zarówno role w błahych komediach - 'Między ustami a brzegiem pucharu' Zbigniewa Kuźmińskiego (1987), a z drugiej strony także role Grzegorza w 'Matce Królów' Janusza Zaorskiego (1982) i Senatora w 'Lawie' Tadeusza Konwickiego wg 'Dziadów' Adama Mickiewicza (1989)" - napisano w "Culture.pl".

"Zawsze wspinał się na wyżyny aktorstwa. Swobodnie wcielał się w przerysowanych satrapów, żalosnych komediantów, naiwniaków szarpiących się z życiem. Był mistrzem epizodu" - pisał Marek Różycki w "Dzienniku Teatralnym" w 2012 r.

Największą popularność przyniosły mu postaci, które stworzył na ekranie po roku 1980. W sumie zagrał wówczas ponad 160 ról. Niezapomniane kreacje Bisty to, m.in. oszukany klient Rożek w "Vabanku" Juliusza Machulskiego (1981), sędzie-erotoman w "Piłkarskim pokerze" Janusza Zaorskiego (1988), właściciel sklepu filatelistycznego w "Dekalogu X" Krzysztofa Kiesłowskiego (1988).

Ale zapamiętany został przede wszystkim jako Senator w filmie Tadeusza Konwickiego "Lawa. Opowieść o 'Dziadach' Adama Mickiewicza" (1989). W 1990 r. na festiwalu filmowym w Gdyni aktor dostał za tę postać Złote Lwy w kategorii "najlepsza drugoplanowa rola męska".

Młodzi widzowie podziwiali go jako "geniusza zła", czyli Wielkiego Elektronika - czarny charakter w filmach "Podróże Pana Kleksa" (1985) i "Pan Kleks w kosmosie" (1988).

"Grywał hrabiów i służących, arystokratów, kapłanów, Żydów ('Kartka z podróży' Waldemara Dzikiego) i chłopów ('Nie było słońca tej wiosny' Juliusza Janickiego), zdrajców i bohaterów. Bywał uosobieniem zła ('Matka Królów' Janusza Zaorskiego), ale z postaci służbistów potrafił też wydobyć nieoczekiwane ciepło albo bezradność (dyrektor szkoły w 'Yesterday' Radosława Piwowarskiego)" - pisała o Biście Magda Sendecka na stronie Akademii Polskiego Filmu.

Sendecka oceniała: "Niezwykłe wszechstronny, równie dobrze czuł się w rolach kostiumowych ('Daghy', 'Śmierć prezydenta', 'Medium', 'Wśród nocnej ciszy', 'Wierna rzeka'), jak współczesnych, dramatycznych i komediowych (choćby u Marka Koterskiego), jako czarny charakter i człowiek pocziwy".

Ostatni raz na ekranie pojawił się w komedii Olafa Lubaszenki "Sztos" w 1997 r.

Bista współpracował też jako pedagog, uczący adeptów aktorstwa, ze Studium Aktorskim Teatru Wybrzeże w Gdańsku i Studium Aktorskim Teatru Muzycznego w Gdyni.



Henryk Bista w filmie "Sto koni do stu brzegów" w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego, 1978



Kadr z filmu "Stacja", reżyseria Antoni Krauze, 1981. Na zdjęciu: Zygmunt Malanowicz i Henryk Bista

W 1977 r. został laureatem Nagrody Ministra Kultury i Sztuki I stopnia. W 1984 r. otrzymał Krzyż Kawalerski OOP.

Jak wspominał Witold Sadowy, przez ostatnie lata życia aktor zmagiał się z ciężką chorobą, jednak wciąż pracował. "I czekał - wraz z żoną Urszulą - na wymarzone, nowe mieszkanie, snując plany, jak je urządzić..."

Henryk Bista zmarł 8 października 1997 r. w Warszawie. Miał zaledwie 63 lata. "Poszedł na operację i już nie wrócił" - zanotował Sadowy.

Spoczął na Starych Powązkach, a po śmierci żony został ekshumowany i pochowany wraz z nią na Cmentarzu Komunalnym we Włocławku.(PAP)

Grzegorz Janikowski

Józef Zdunek

tajemnica to jest niewiadoma
niewiadoma ukryta
w skorupie twardej jak skała
pod wpływem ludzkiego rozumu
skorupa pęka
tajemnicy nie ma

wzbogaca się nauka
to bardzo dobre

niestety nie zawsze

bo rozwiązanie tajemnic
wykorzystują wojny

każdy medal ma dwie strony

Jerzy Górnicki

SPOWIEDŹ

Spowiadam się z czynów
też niepopelnionych.
Popelnione można naprawić,
niepopelnione są jak dobre chęci,
jak nie wykupiony los,
dziewczyna, która przeszła obok,
zgubiony wiersz z pamięci,
żebraczka z pustą wyciągniętą dłonią,
dziecko z domu bez ojca i matki.

Skaczę po kamieniach
wśród rozlanego błota.
Czepia się do butów,
nie sposób je oczyścić
szczoteczką i pastą lux.
Spod niej wygląda słońce
odbite w kałużach,
które zachlapałem błotem.

23.11.23.

Krzysztof Saturnin Schreyer

JESZCZE RAZ

Wiosna – jeszcze jedna
jeszcze raz za oknem czeremcha
i ptaki w brzozowym gaju
śpiewają
jeszcze raz

Zdziwiony że znów
wciągam w płuca zapach czeremchy
a przed nadejściem nocy
ptasie głosy
jeszcze raz

Jeszcze zdążyłem
jeszcze mi nie uciekły łąki
i ta sama odżywa nadzieja
jeszcze raz

30 IV 2020

Alicja Patey-Grabowska

JULIA

Ona miłość do grobu
uniosła jak skrzydła
nadała kształt piękna
niezniszczalny trwały

Ona młodość do grobu
uniosła jak skrzydła
unieśmiertelniła śmierć
podeptała starość

Jaj gładka twarz Oczy
jak brzemienne kwiaty
w owoc który tylko
w domysłach dojrzewa

Poprzez deszcz Przez
słońce
tak zawsze niezmienna

jak wyzwanie rzucone
umarłym za życia



EUROPEJSKI DZIEŃ PAMIĘCI O SPRAWIEDLIWYCH

Święto ustanowił 10 maja 2012 roku Parlament Europejski, by uhonorować pamięć osób, które sprzeciwiały się reżimom totalitarnym i masowym zbrodniom w XX i XXI wieku. Data została wybrana nieprzypadkowo – 6 marca przypada rocznica śmierci Mosze Bejskiego, inicjatora Ogrodów Sprawiedliwych w Jerozolimie oraz współtwórcy definicji „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Pojęcie **Sprawiedliwego** użyte zostało po raz pierwszy w Memoriale Yad Vashem w odniesieniu do osób, które z narażeniem własnego życia ratowały Żydów podczas II wojny światowej. Wśród uhonorowanych Medalem **Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata** jest obecnie 6 863 Polaków, w tym tak znane osoby jak Władysław Bartoszewski, Andrzej i Janina Boguccy, Mieczysław Fogg, Jan Karski, Zofia Kossak-Szczucka, Czesław Miłosz, Irena Sendlerowa, Aleksander Zelwerowicz, Jan i Antonina Żabińscy. Dawniej, poza medalem i dyplomem, Sprawiedliwym przysługiwało także prawo do zasadzenia drzewa w parku otaczającym siedzibę Instytutu Yad Vashem,

jednak z powodu braku miejsca zwyczajnie zaniechano.

Obecnie pojęcie Sprawiedliwego ma uniwersalny charakter – odnosi się do osób, które w obliczu totalitaryzmu i ludobójstwa miały odwagę bronić godności człowieka, pomagać ofiarom czy występować w obronie prawdy. Ogrody Sprawiedliwych powstają na całym świecie m.in. w Armenii, Bośni, Rwandzie, Włoszech i Francji.

W 2014 roku z inicjatywy Domu Spotkań z Historią i włoskiej organizacji Garriwo **Ogród Sprawiedliwych** utworzono także w Polsce – w Warszawie, na skwerze Generała Jana Jura-Gorzechowskiego. Co roku tytułem Sprawiedliwego upamiętniane są kolejne trzy osoby, sadzone są drzewka i odsłaniane pamiątkowe tablice. Dotychczas w ten sposób uhonorowano m.in. Marka Edelmana, Annę Politkowską, Nelsona Mandelę, ks. Jana Zięję, Roberto Kozaka, Rafała Lemkina.

Zofia Penza-Gabler



Piramidy w Polsce

Najstarsze megalityczne budowle w Polsce usytuowane są na Kujawach w tak zwanym Gaju Stolarskim, Wietrzychowicach oraz w Sarnowie. Badacze wysnuli tezę, że grobowce te liczą ponad 5500 lat. Oznacza to, że zostały one pobudowane około 1000 lat wcześniej niż Północna Piramida w Dahszur. W porównaniu z egipskimi piramidami grobowymi, te kujawskie są owiane gęstą aurą tajemnicy. Do dzisiaj naukowcom nie udało się ustalić, kto został pochowany w ich komorach grobowych. Najprawdopodobniej spoczęli tam pierwsi władcy Kujaw, lub jacyś przybyli tam ważni goście

Najstarsze piramidy w Polsce mają kształt trójkąta albo lekko wydłużonego trapezu. Najbardziej okazałe z piramid polskich mierzą nawet ponad 100 metrów długości. Ich wierzchołki sięgają do 5 metrów. Zostały usypane z tysięcy ton ziemi, które zostały połączone z ogromnymi głazami. Starożytni mieszkańcy Kujaw nie mieli problemu z pozyskaniem surowca do budowy piramid. Na tych terenach licznie występowały nagromadzone kamienie polodowcowe.

Niektóre występują tu w postaci ruin, bowiem na przestrzeni dziejów, kujawskie obiekty były sukcesywnie niszczone w celu pozyskania kamieni do kolejnej budowli. Surowiec z grobowców posłużył nawet do budowy drogi, prowadzącej do Izbicy Kujawskiej.

Kolejna piramida, wybudowana w Polsce znajduje się w Rapie, leżącej w województwie warmińsko-mazurskim.

Grobowiec ten położony jest na Rysim Bagnie, blisko granicy polsko-rosyjskiej. Jest to stosunkowo młoda budowla, gdyż wzniesiona w XIX stuleciu.

Budowla ta została wzniesiona na szczególne zlecenie barona Friedricha von Fahrenheida. Był on podróżnikiem, a także mecenasem sztuki i miłośnikiem kultury i historii egipskiej. Uchodził przy tym za najmądrzejszego mieszkańca Prus Wschodnich. Zadecydował o wybudowaniu piramidy w 1811 roku, po śmierci swojej trzyletniej córki. W jego mniemaniu, tym sposobem zapewnił dziewczynce nieśmiertelność. Wraz z ciałem córeczki złożył do grobu, na wzór faraonów, mały skarbczyk oraz zestaw cennych olejków zapachowych. W ten sposób powstał 16-metrowy obiekt, wzniesiony na podstawie kwadratu o 10-metrowym boku. Z biegiem czasu, w grobowcu tym spoczęli kolejni przedstawiciele rodu, do którego należał Friedrich von Fahrenheid.

W czasie II wojny światowej, wojska radzieckie zdevastowały w bardzo znaczący sposób tę piramidę. Ale, przy okazji, dokonano niebywałego wprost odkrycia. Spoczywające w piramidzie ciała rodziny barona nie uległy rozkładowi, mimo że nie były one mumifikowane. Okoliczni mieszkańcy twierdzą zgodnie, że spoczywający tam zmarli rzucają klątwę na całą okolicę.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, miesz-

SPACERKIEM PO HISTORII

kańcy Rapy sprowadzili szamana z Afryki, który zwłokom pochowanym w grobowcach obciął głowy.

Piramidzie tej przypisuje się nadnaturalne właściwości. Jak zbadano, kumuluje ona energię z wnętrza ziemi, dlatego zakłóca tamtejsze pole magnetyczne. Mimo jej położenia w środku gęstego lasu, wokół piramidy nie występują żadne owady.

Kolejny grobowiec, posiadający wygląd piramidy znajduje się w Rożnowie na Opolszczyźnie. Obiekt ten wzniesiono w 1780 roku na polecenie Augusta

Freiherra von Ebena und Brunnena, właściciela tych terenów. Baron był zapalonym egiptologiem, a jego życzeniem było, aby członkowie jego rodziny chowani byli jak faraonowie.

Piramidę wzorowano na grobowcu Cheopsa w Gizie. Zaprojektował ją Carl Langhaus, twórca berlińskiej Bramy Brandenburskiej. W latach 1780-1830 w piramidzie w Rożnowie spoczęło dwudziestu ośmiu przedstawicieli rodu von Ebenów. Tym razem zwłoki były z mumifikowane.

Ewa Michałowska -Walkiewicz



Piramida w Rapie



Piramida w Rożnowie

KĄCIK LITERACKI

Sławomir Maszewski

KROK WSTECZ

Odszedłem na chwilę,
zamykając życie w zakurzonej walizce,
zadrżałem przy tym ze zdziwienia,
jak niewiele miejsca zajęło:
kilka spłowiłych miłości,
zabawa w śnieżki z synem
uciekałym w nieśmiertelność dzieciństwa,
śmieszne odbicie w stawie,
w którym poszukiwałem Mądrości,
setki milczących wierszy
i stary zegarek z dewizką
odziedziczony po dziadku.

Powędrowałem daleko
od mrugających znacząco świateł miasta,
aż poza kres możliwości,
jak uczeń cieni
modlący się do tajemnic,
których nie zdąży już rozwikłać;
może znów chciałem pójść tropem
żdźbła trawy, wprost ku Wiośnie,
niepomny żółtych kwiatów mlecza
wirujących wokół stóp w zatrutym tańcu
i wreszcie dotknąłem światła,
a ono przebiło mnie na wylot.

Proszę, nie pytaj, kiedy wróciłem...

Krystyna Krahelska

90. rocznica urodzin

Pomnik Syreny, stojący nad Wisłą, ma twarz i korpus Krystyny Krahelskiej – poetki, harcerki, śpiewaczki, żołnierki Armii Krajowej

Pomnik Syreny, który znajduje w pobliżu Mostu Świętokrzyskiego, został odsłonięty w 29 czerwca 1939 r. Powstał z inicjatywy prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego. Wykonała go uznana rzeźbiarka Ludwika Nitschowa. W toku prac nad projektem monumentu, w latach 1936-37, pozowała jej znajoma, 22-letnia studentka etnologii Krystyna Krahelska. Zielonooka, wysoka, perfekcyjnie zbudowana młoda kobieta wydawała się artystce wzorem słowiańskiej urody, której chciała nieśmiertelnić w pomniku. To po niej Syrena z brązu ma bujny tors i szlachetne rysy twarzy.

- Wyrzeźbiona przeze mnie twarz Syreny warszawskiej jest twarzą Krystyny zmonumentalizowaną, aby nie było tak łatwo rozpoznać Krysię, chodzącą ulicami, co by ją może krępowało – mówiła po latach rzeźbiarka - Bo chodziła ulicami warszawskimi prosta, wysoka, jaśniejąca uśmiechem wewnętrznej młodzieńczej radości i siły, gotowa na wszystko, co uczciwe, sprawiedliwe i piękne.

Pewien symboliczny wydźwięk ma fakt, że młoda kobieta, której wizerunek uwieczniono w najważniejszym symbolu miasta, poległa w czasie powstania warszawskiego. A miała przed sobą wielką przyszłość. Oto jej losy.

Krystyna Krahelska urodziła się 24 marca 1914 r. w Mazurkach nad Szczarą, rodzinnym majątku położonym 27 km na południowy-wschód od Baranowicz. Krahelscy należeli do rodów o tradycjach patriotycznych i inteligenckich. Ojciec naszej bohaterki, Jan, był inżynierem melioracji, a matka, Janina, biolożką.

W czasie zawieruchy I wojny światowej rodzina została rozdzielona. Ojciec otrzymał powołanie do carskiej armii, gdzie dosłużył się rangi podpułkownika saperów. Tymczasem rodzina tułała się od Mińska do Puław, uciekając przed przetaczającym się frontem. Dopiero na początku lat dwudziestych Krahelscy mogli powrócić do rodzinnych dóbr. Z trudem odbudowano je po wojennych zniszczeniach.

Bagienne, lesiste, piaszczyste i dzikie Polesie – najbardziej zacofana cywilizacyjnie część ówczesnej Polski - była ukochaną krainą Krystyny. Przez większość dzieciństwa żyła blisko natury. Dlatego gdy w 1926 r. jej ojciec został wo-



jewodą poleskim i rodzina musiała wyprowadzić się do Brześcia nad Bugiem, ona początkowo nie mogła się odnaleźć w nowym środowisku. Miejski gwar i rozrywki nie za bardzo jej odpowiadały. By choć częściowo odreagować tę zmianę w 1928 r. wstąpiła do harcerstwa. Tam mogła wykorzystać umiejętności nabyte w Mazurkach – jak pływanie, jazdę konną i orientacja w terenie – i częściej powracać do poleskiej głuszy. Jednocześnie, z tęsknoty za rodzinnymi stronami, zaczęła tworzyć pierwsze wiersze i piosenki. Te artystyczne pasje będzie rozwijała potem w kolejnych latach życia.

Działalność w ruchu skautowym pochłaniała ją bez reszty. Od 1929 r. miała pod opieką drużynę zuchów. W lokalnej gałęzi ruchu była niezwykle ważną osobą. W 1931 r. reprezentowała swój region na Zlocie Skautów Słowiańskich w Pradze.

W rok później zdała maturę i ukończyła Państwowe Gimnazjum Koedukacyjne im. R. Traugutta. I wyruszyła na studia do stolicy.

W 1932 r. zaczęła studiować geografę na Uniwersytecie Warszawskim. Szybko jednak zmieniła kierunek na etnografię. Wybór kierunku był związany z narastającą u niej fascynacją folklorem białoruskim, z którym miała intensywny kontakt w rodzinnych Mazurkach.

Od początku pobytu w Warszawie Krahelska jeszcze intensywniej zaczęła szlifować swój talent poetycki. Pisała obszerne wierszowane listy do matki, publikowała swoje pierwsze liryczne dzieła.

Została zauważona. W październiku 1936 r. zaproszono ją na wieczór poetycki do Wilna, na którym, obok niej, pojawili się tak uznani twórcy jak Julian Tuwim i Jan Lechoń. Oprócz deklamacji swoich wierszy, które spotkały się z ciepłym przyjęciem publiczności, młoda kobieta śpiewała białoruskie i ukraińskie pieśni ludowe. To był jej oficjalny artystyczny debiut.

W latach poprzedzających wojnę Krahelska skupiła się z jednej strony na pisaniu pracy magisterskiej (temat: „Rok obrzędowy we wsi Mazurki”), a z drugiej rozwijała swoją karierę folkowej pieśniarki. W 1936 r. nauczyła się śpiewać po huculsku, i nagrała z kapelą Dmytra Zacharczuka kilka pieśni i melodii. W 1939 r. koncertowała z zespołem śpiewaczym w Niemczech. Wystąpiła także ze swoim recitalem pieśni polskich i białoruskich w Polskim Radiu Baranowicze. Jednak nie dane jej było kontynuować tej ścieżki kariery.

Wczesnym latem zdała egzaminy i obroniła pracę magisterską na UW. A potem wróciła na okres wakacji do rodzinnych Mazurków. Jak się okazało, były to ostatnie chwile, jakie mogła spędzić w ukochanym rodzinnym gnieździe.

We wrześniu 1939 r. rodzina Krahelskich zostaje rozdzielona. Brat Krystyny, Bohdan, jest pilotem wojskowym. Po klęsce wojny obronnej przedostaje się do Francji. Tymczasem ona wraz z rodzicami ucieka przed Sowietami do Warszawy.

Krystyna, nieustraszona patriotka, od grudnia 1939 r. działa w ZWZ AK. Jest łączniczką. Przewozi broń, amunicję i rozkazy. Poza tym szkoli się na pielęgniarkę. Przebywa w Warszawie. Potem przez pewien czas pracuje jako laborantka w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, a następnie trafia do Włodawy, gdzie w miejscowym szpitalu opiekuje się swoim ciężko chorym ojcem.

W międzyczasie nie zaprzestaje aktywności artystycznej. Dużo śpiewa i pisze. Jej utwory stają się znane wśród żołnierzy Armii Krajowej. Do jej największych szlagierów należy m.in. „Kujawiacek”, a przede wszystkim „Hej chłopcy bagnet na broń”. Utwór ten powstał na początku 1943 r. na prośbę Ludwika Bergera, twórcy słynnego pułku „Baszta”. Jej słowa miały rozgrzewać do boju:

*Długa droga daleka przed nami.
Mocne serca, a w ręku karabin,
Granaty w dłoniach i bagnet na broni.
Ciemna noc się nad nami roziskrzyła gwiazdami,
Białe wstęgi dróg w pyle, długie noce i dni,
Nowa Polska, zwycięska, jest w nas i przed nami.*

Utwór stał się jednym z hymnów podziemia i okresu powstania warszawskiego. Przy różnych okazjach bywa śpiewany i dziś.

Latem 1944 r. front zbliżał się do Warszawy. Krystyna wywiozła wówczas swoich rodziców do Krakowa. A następnie, w połowie



lipca, wróciła. Wiedziała, że zbliża się powstanie. Nie mogła opuścić swoich towarzyszy w okresie najcięższej próby.

Krystyna Krahelska została przydzielona do plutonu 1108 w 7. pułku ułanów lubelskich. Oddziałem tym dowodził por. Karol Wróblewski ps. „Wrona”. Jej pluton liczył 44 żołnierzy i trzy sanitariuszki.

1 sierpnia ruszył on do szturmu z kamienicy przy ul. Polnej 46 na budynek redakcji "Nowego Kuriera Warszawskiego" przy ul. Marszałkowskiej 3/5. Bez powodzenia. Powstańcy musieli wycofać się przez Pole Mokotowskie. W czasie odwrotu Krystyna udzielała pomocy kilku rannym kolegom pod silnym ogniem niemieckich karabinów. I wtedy, ok. godz. 18, została trafiona trzema kulami w płuca. Niestety z pola walki można było ją ściągnąć dopiero po zapadnięciu zmroku, ok. godz. 21. Była operowana w jednym z punktów sanitarnych. Niestety nic to nie pomogło.

Krahelska zmarła nad ranem 2 sierpnia. Pochowano ją obok domu przy Polnej 46. Po wojnie jej ciało przeniesiono na cmentarz służewiecki.

Wojciech Rodak



Ławeczka Krahelskiej we Włodawie

Galeria



Fot. Aneja Łabuszko-Łabuszewska

Jeremi Przybora

20. rocznica śmierci

Razem z Jerzym Wasowskim współtworzył najsłynniejszy polski kabaret, Kabaret Starszych Panów, który nie tylko rozbawiał, ale i wpłynął na wyobraźnię oraz język kilku pokoleń Polaków.

Frak, cylinder, biała koszula, sztuczkowe spodnie, goździk w butonierce, obowiązkowa laseczka w rękę... Takim po raz pierwszy zobaczyli Jeremiego Przyborę widzowie w telewizyjnym Kabarecie Starszych Panów, który w 1958 r. współtworzył z identycznie ubranym Jerzym Wasowskim. On, twórca tekstów i librecista, był Panem B, a Wasowski, kompozytor – Panem A.

Razem tworzyli jedną z najbardziej niezapomnianych spółek autorskich w historii polskiej kultury – radia, telewizji i piosenki.

— To był zupełnie wyjątkowy człowiek — mówił po śmierci Przybory 4 marca 2004 r. aktor Wiesław Michnikowski, który w Kabarecie Starszych Panów tworzył między innymi postać pana Niedużego i śpiewał tak popularne piosenki duetu jak „Wesołe jest życie staruszka”, „Addio, pomidory”, „Jeżeli kochać to nie indywidualnie”, „Bo we mnie jest seks” i „Inwokacja”. Jak przekonywał, teksty Przybory, mimo że zazwyczaj żartobliwe, miały w sobie wszystkie cechy prawdziwej poezji. — To był człowiek wielkiej kultury i wielkiej życzliwości. Nigdy nie widziałem, by Jeremi się uniósł, był przecież wzorem elegancji i dobrego wychowania — mówił Polskiej Agencji Prasowej Michnikowski.

W podobnym tonie o Przyborze wypowiadała się Wisława Szymborska, która nie ukrywała irytacji, słysząc, jak ktoś nazywa go tekściarzem. Dla niej również był on stuprocentowym poetą. — Mistrzostwo Przybory polega na tym, że szwów nie widać. Słowa jego piosenek mogą istnieć samodzielnie, nawet bez ślicznych melodii Wasowskiego, a i tak rozrzewniają i śmieszą.

Kiedy w 2001 r. wydawnictwo Muza wypuściło „Piosenki prawie wszystkie”, zbiór 226 tekstów Przybory, Wojciech Młynarski we wstępie książki napisał: „Gdyby Jeremi Przybora pisał na przykład po francusku, to wymieniano by Go jednym tchem obok Brassensa, Breła czy Viana”.

— To niekwestionowany mistrz. Trudno znaleźć słowa, w których można by przechwalić to zjawisko, które było ważną częścią składową polskiej kultury — mówił Młynarski po śmierci Przybory. — Robi się wielka luka, wielka



dziura, która nie zostanie zapełniona, ponieważ to był ktoś jedyny w swoim rodzaju.

— Swoją kulturą, delikatnością, wrażliwością... Nie mieli po prostu w sobie żadnego brudu. Dlatego to jest taki wielki żal, jak tacy ludzie odchodzą — mówił wtedy reżyser Kazimierz Kutz, do którego filmu „Upał” Przybora napisał scenariusz.

Dziś nie ma z nami ani Jeremiego Przybory, ani wielu z tych, którzy się nim zachwycali. A było kim i czym. Przybora, bez względu na to, czy nazwiemy go poetą, tekściarzem czy librecistą, jak mało kto wpłynął na wyobraźnię kilku pokoleń Polaków, jak i na współczesną polszczyznę. Jego literacki styl łączył oryginalność i językową elegancję z wytwornym humorem i liryzmem. Jego skeczów i tekstów się nie zapomina, a one same się nie starzeją. A jeśli nawet, to z klasą godną wdzięku ich autora.

Sam Przybora również się wyróżniał na co dzień; był typem człowieka przedwojennego – eleganckiego i wytwornego dżentelmena z nienagannymi manierami, kunsztownie i z wielkim smakiem używającego języka mówionego.

— On się tak naprawdę nie różnił specjalnie od dżentelmena znanego z telewizyjnych kabaretów — mówił w rozmowie z Onetem syn artysty, Konstanty Przybora. — Dla mnie zawsze pozostanie takim dystyngowanym, dobrze wychowanym panem, pięknie mówiącym po polsku — kimś trochę nie z tego świata.

— Zważywszy na czasy, w jakich żył, został dość ładnie potraktowany. Przetrwał niemal cały XX w., który do wesołych przecież nie należał. A jednak pisał tak pogodne teksty! Dla mnie to fenomen. Tata nie był typem bohatera, chociaż w powstaniu warszawskim brał udział, lecz niezwykle delikatną osobą. Literatura stanowiła więc na pewno formę odskoczni od wielu bolesnych wydarzeń.

Jak syn podkreślił, Przybora nie był zawodowym aktorem, a postać, która pojawiała się na scenie Kabaretu Starszych Panów, to był właśnie on, a nie napisana dla niego rola. — Można więc spojrzeć na to na dwa sposoby: albo w telewizji grał siebie, albo wcielał się w postać w życiu prywatnym.

— Dobrze pamiętam natomiast, że praca całkowicie go pochłaniała. Dzięki niej odrywał się od świata realnego. Im tata był starszy, tym bardziej stawał się pozornie pogodnym filozofem z dużym dystansem do życia. Jego lekki humor to forma dawania sobie rady z tym, jaka czasem jest trudna rzeczywistość.

Przyjaciele i bliscy zapamiętali Przyborę jako kogoś żyjącego trochę obok rzeczywistości, w swoim świecie. Znana jest anegdota, którą jako pierwszy opowiedział Wiesław Michnikowski. Podczas zimy stulecia pan Jeremi odśnieżał swój samochód. Kiedy już to zrobił, okazało się, że odśnieżył auto należące do sąsiada. By nikt nie zauważył pomyłki, szybko je zasypał.

Innym razem kazał swojemu synowi przetrzeć szyby w samochodzie, a kiedy ten to zrobił, odjechał, zostawiając na miejscu zdziwionego małego "Kota" [pseudonim Konstantego — aut.]. Zawrócił dopiero wtedy, kiedy o dziecku przypomniła mu żona.

— Tata był dystryktem codzienności — przyznawał pan Konstanty. — Nie lubił angażować się w przyziemne sprawy organizacyjne typu pranie czy gotowanie. Kiedyś w "Szpilkach", w "Kronice Wypadków", ukazał się anons "Jeremi Przybora kupił samochód i jeździ po Warszawie". Ale potem już się nauczył i nawet to jeżdżenie lubił, szczególnie w kierunku południowym.

Przybora miał za to znakomitą pamięć — swoją autobiografię napisał w wieku 70-kilku lat, nie korzystając przy tym z żadnych notatek.

Cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet i często łamał serca. Był przystojny i czarujący, więc trudno było oprzeć się jego urokowi. Miał trzy żony, najpierw śpiewaczkę Marię Burską (córka Marta). Pobrali się w 1939



Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski

r., a małżeństwo się rozpadło, kiedy do najstarszej z popularnego tercetu siostr Burskich dotarły wiadomości o zamięłowaniu męża do flirtów i romansów. Drugą żoną Przybory była Jadwigą Berens (syn Konstanty).

Przez wiele lat tajemnicą były relacje Przybory z Agnieszką Osiecką, o której po raz pierwszy usłyszał, czytając w jednej z recenzji, że się nią inspiruje. Poznał ją w 1964 r. podczas jednej z suto zakrapianych imprez i z miejsca się zakochał — romans wyszedł na jaw po latach dzięki Magdzie Umer i publikacji książki "Listy na wyczerpanym papierze", zawierającej intymną korespondencję obojga. Rozstanie z Osiecką Przybora przypłacił złamanym sercem. To ono doprowadziło do rozpadu małżeństwa z Berens.

Trzecią żoną była architektka i scenografka Alicja Wirth, którą poznał w sylwestra u Xymeny Zaniewskiej. Rozmawiali przez całą noc na schodach, a rano byli już zakochani. Spędzili razem 33 lata. Mieszkali na warszawskim Starym Mieście, ale wiosną i lato spędzali w bajecznie pięknym domu w Pacewie nad Pilicą, otoczeni bliskimi i przyjaciółmi. Przybora, mimo rozpadu poprzednich małżeństw, pozostał w dobrych relacjach ze swoimi byłymi żonami, dbał też o dzieci.

Jeremi Przybora urodził się 12 grudnia 1915 r. w Warszawie w zamożnej rodzinie ziemiańskiej, chociaż akurat pochodzenie nie miało dla niego później większego znaczenia. Ojciec, Stefan, inżynier-cukiernik, był właścicielem fabryki słodczy i cukierni w Warszawie, a matka Jadwiga zajmowała się domem. Jeremi miał starsze rodzeństwo — brata Wiesława i siostrę Halinę.

— Moje życie świadome rozpoczęło się już na Wiejskiej pod numerem 2 — wspominał w Polskim Radiu.

— Było to wielkie sześciopokojowe mieszkanie,

do którego rodzice się przeprowadzili z Senatorskiej niedługo po moim przyjściu na świat, żeby się tam wkrótce rozwieść.

Po rozwodzie rodziców matka zgodziła się, by chłopiec spędził kilka lat w wielkim majątku ojca pod Bydgoszczą. — Ojciec mój zrezygnował z mamy, ale nie zrezygnował ze mnie — wspominał. Miał być wychowany na panicza. Tam ukończył szkołę powszechną, a następnie wrócił do Warszawy, gdzie został absolwentem gimnazjum im. Mikołaja Reja. Długo szukał swojego miejsca w życiu, parokrotnie zaczynając studia i ich nie kończąc — studiował między innymi w Szkole Nauk Politycznych i na Wydziale Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

Od wczesnych lat Przybora wychowywał się otoczony kulturą, zwłaszcza literaturą i muzyką. Jego gorące uczucie do piosenki amerykańskiej przeplatało się z miłością do piosenki francuskiej, w której szczególnie pociągał go tekst i jego interpretacje. Jednocześnie pochłaniał literaturę polską, uwielbiał także czytać i pisać wiersze. Chadzał do teatru i na kabarety czy teatrzyki literacko-rewiowe, zwłaszcza przedstawienia Małego Qui Pro Quo i Cyrulika Warszawskiego.

– Nurt patriotyczny stanowczo wołałem od obyczajowego – wspominał, mówiąc o literaturze. – Był po prostu pogodniejszy. Wprawdzie ułani padali jak muchy, ale jakoś tak optymistycznie, radośnie wręcz, ochoczko. Ilekroć okazywało się, że tam za lasem wre potyczka, słychać pierwsze strzały, ułan porzucał dziewczę, z którą tańczył właśnie jeszcze jednego mazura, i pędził konno polec. A potem, i to już widziałem na własne oczy, uczestniczył w swoim pięknym pogrzebie.

Jako pierwsza walory głosu Przybory odkryła jego macocha. Załatwiła mu lekcje śpiewu. – Z niepokojem śledziła moją wędrówkę błędnego studenta po wyższych uczelniach, nieprzynoszącą ciągle upragnionego odnalezienia się w jakimś właściwym kierunku – wspominał w Polskim Radiu.

— Bała się, że w końcu wyładuję bez dyplomu i perspektyw na jakiejś nudnej biurowej posadce, więc pewnego dnia powiedziała: „Masz przyjemny głos. Poznałam znanego profesora śpiewu niedawno i mówiłam mu o tobie. Powiedział, żebyś przyszedł na próbę głosu. Profesor stwierdził, że mam baryton, to mi bardzo pochwalało, bo bałam się, że mam tenora”.

Ostatecznie z kariery śpiewaka nic nie wyszło. Przybora pracował przez kilka miesięcy jako guwerner, a potem pomyślnie przeszedł casting na spikera Polskiego Radia. Był początek 1937 r. Pomogło mu posługiwanie się nieskazitelną polszczyzną i znajomość francuskiego. – Ta praca to naprawdę była wygrana na loterii – zaznaczał po latach.



Karierę spikera przerwał wybuch II wojny światowej. W jej trakcie Przybora pracował między innymi w przedsiębiorstwie handlującym rurami i blachami, a także jako urzędnik w zakładzie miejskim i sprzedawca w sklepie, którego asortyment opisywał jako „szydło, mydło i powidło”.

Po zakończeniu wojny Przybora trafił na trzy lata lat do bydgoskiego radia, do Rozgłośni Pomorskiej, gdzie napisał swoje pierwsze satyryczne teksty piosenek. Zaczęło się od gazetki ściennej, którą sam nazwał „organem wiszącym”. Szlachecko-ziemiańskie pochodzenie mogło mu zaszkodzić w karierze, więc je ukrył, pisząc w życiorysie, że ojciec był rolnikiem. Dla bezpieczeństwa wstąpił do partii. Legitymację oddał w 1968 r., kiedy wybuchła antysemicka nagonka.

Do Warszawy wrócił w 1948 r., namówiony przez Zygmunta Młynarskiego, ówczesnego dyrektora Polskiego Radia. Pracował w nim jako spiker, jednocześnie rozwijając swoją twórczość satyryczną. Pewnego dnia spotkał na korytarzu poznanego we wrześniu 1939 r. kompozytora i pianistę Jerzego Wasowskiego. Wyczuł jego instynkt kompozytorski i zaproponował stworzenie radiowego teatrzyku Eterek. W ten sposób powstał niezwykle duet Przybora-Wasowski, który tak bardzo wpłynął na polską kulturę.

— Ja jestem dobry w żarcie poetyzującym, ale tu już się zaczynamy potykać o terminologię: „poeta piosenki żartobliwie poetyzujący” — mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym”. — Zbyt skomplikowane, żeby zapamiętać. A jeszcze przecież ten ogromny udział muzyki Wasowskiego, która mojej „poezji” dodała fantastycznych skrzydeł.

Jak w rozmowie z Onetem wspominał Konstanty Przybora, jego ojca łączyła z Wasowskim przedwojenna znajomość i powojenna przyjaźń. — To nie byli „kumple od picia” — mówił, podkreślając, że obaj zwykle widywali się w celach zawodowych, a nie towarzyskich. — Przybora i Wasowski nie spędzali ze sobą każdej wolnej chwili. Nie wyjeżdżali razem na

wakacje. O co zresztą byłoby ciężko, bo żadni z nich po-
dróżnicy.

— Myśmy się tak trochę dopasowali i poczuciem humo-
ru, może nie identycznym — wspominał w Polskim Ra-
diu Przybora. — Prowadziliśmy sobie czasem prywatnie
takie głupie rozmówki, że ludzie się na nas patrzyli, czy
wszystko z nami porządku. Było to spowodowane chęcią
ucieczki od tej przeraźliwej nudy i szarości tamtych
czasów, szpetoty życia codziennego, świadomą chęcią
ucieczki w jakiś żart, coś weselszego, co właśnie owoco-
wało u nas z Jerzym naszymi prywatnymi rozmówkami.
Potem w jakiś sposób przeniosły się one na papier i na
nasze tworzywo mikrofonowe i czy kamerowe.

Wspomniany Eterek, który działał przez 10 lat, nazywa-
ny był „najszerzym uśmiechem radia czasów stalinows-
kich”. Dzięki teatrykowi wielką popularność zdobyły
takie postaci jak wdowa Eufemia (Irena Kwiatkowska),
profesor Pęduszek (Andrzej Mularczyk) czy chłoptaş
Mundzio (Tadeusz Fijewski).

W 1958 r. duet ruszył z telewizyjnym Kabaretem Starszych
Panów, którym natychmiast podbił serca niemal wszyst-
kich widzów w Polsce, stojąc, jak pisał Antoni Słonimski,
„w opozycji do nasilającej się ordynarności i ponurości
obyczajów”.

„Był to istny fenomen kultury masowej naszych lat 60.,
elitarny, wysublimowany program, wymagający wyrobie-
nia, operujący pastiszem stylów i gatunków, a docierający
nie tylko do inteligencji, ale po prostu do wszystkich” —
pisał Wojciech Młynarski. „Emisja Kabaretu w telewizji
to było święto w polskich domach”.

Na przestrzeni ośmiu lat powstało 16 odcinków, z których
tylko połowę zarejestrowano. W Kabarecie występowali
i zdobywali popularność między innymi Kalina Jędrusik,
Irena Kwiatkowska, Barbara Krafftówna, Wiesław Mich-
nikowski, Mieczysław Czechowicz czy Wiesław Gołas.
Wszyscy tak bardzo cenili teksty Przybory, że w mowie
szanowali nawet znaki interpunkcyjne, który stawiał.

Żarty Kabaretu, chociaż nie miały prawa dotyczyć
polityki — był to czas końca odwilży i rozpędu epoki
gomułkowskiej — oddawały jednak absurdalność ów-
czesnej rzeczywistości. — U Starszych Panów niby nie
mówiło się o polityce, a jednak nikt tak dowcipnie nie
podsumowywał paranoi poprzedniego systemu jak Jeremi,
pisząc na przykład „Kino nieczynne — ekran w pralni”
albo „Załamałem się dopiero w kolejce po jajka, kiedy
kazano mi przynieść własne skorupki” — wspominała w roz-
mowie z PAP Magda Umer, wieloletnia przyjaciółka Jere-
miego Przybory.

W 1966 r. Jerzy Wasowski wycofał się z tworzenia Kaba-
retu, twierdząc, że czuje się na niego za stary. Mimo to 12
lat później duet powrócił z „Kabaretem Jeszcze Starszych



Panów”, powołanym także po to, by zarejestrować
najsłynniejsze skecze Kabaretu. Obaj panowie
przygotowali także cykl programów „Diverti-
mento”. Wasowski zmarł w 1984 r.

Jeremi Przybora był twórcą bardzo wszechstron-
nym. Z jednej strony napisał teksty do wielu
popularnych piosenek i skeczy, a z drugiej miał
na koncie scenariusz komedii Kazimierza Kutza
„Upał” (1964). Pisał libretta i teksty do spek-
takli teatralnych i musicali, miał też w dorobku
takie książki jak „Spacerek przez Eterek” (1957),
„Dziecko szczęścia” (1975), „Divertimento”
(1976) i „Mieszanka firmowa” (1977).

W 1994 r. opublikował swoje wspomnienia
„Przymknięte oko Opaczności”, a cztery lata
później trytomowy pamiętnik „Memuary”. Pod
koniec życia przekładał klasykę literatury dla
dzieci, w tym „Piotrusia Pana”, przeniesionego
z wielkim powodzeniem przez Janusza Józefowicza
i Janusza Stokłosę na deski teatru Roma. — Był to
mój łabędzi śpiew — mówił.

W 1989 r. namówiony przez Magdę Umer, nie tylko
napisał z nią spektakl „Zimy żal”, ale i w nim za-
grał.

W 2000, po śmierci trzeciej żony, Alicji Wirth,
stał się samotnikiem, chociaż jak pisała Mag-
da Umer, „zawsze najbardziej lubił samotność
we dwoje”. — Życie jako forma spędzania czasu
przestało mnie interesować — mówił. — Mądrość
to jedyna uroda starości.

Jak podkreślał w 2003 r. w swoim ostatnim wy-
wiadzie, udzielonym „Tygodnikowi Powszech-
nemu”, człowiekiem wielkiego smutku raczej się

nie czuł. – Przeciwnie, byłem człowiekiem wielkiej pogody ducha. Tak mi się przynajmniej wydaje. No, może nie “wielkiej”. Może po prostu – pogody ducha. Zresztą, jakim cudem mógłbym być człowiekiem wielkiego smutku, skoro 33 lata życia spędziłem u boku kobiety, która uczyniła mnie jednym z najszczęśliwszych mężów świata, mojej trzeciej żony, Alicji. Dopiero od trzech ostatnich lat, od kiedy jej nie ma, wiem, co to jest wielki smutek.

Jak o sobie mawiał, był “bardzo głęboko niewierzący”, chociaż z wywiadów i wypowiedzi wysnuwa się bardziej obraz agnostyka niż ateisty. Nawet pod koniec życia, kiedy zachorował na nowotwór wątroby, wyprosił ze szpitala księdza.

— Bez względu na porę roku ja zawsze jestem za wiosną — mawiał, jednocześnie odmawiając podania jednoznacznej definicji czegoś, co nazywa się natchnienie. Nawet nie był pewien, czy je posiada. — Przypuszczam, że ja bym je miewał, gdyby nie to, że potrzeba zarabiania na życie zawsze to natchnienie wyprzedzała. Zanim zdążyłem usiąść i poczekać na nie, już musiałem zarobić jakieś pieniądze. A że nic nie szło mi tak łatwo jak pisanie, więc pisałem.

Jeremi Przybora zmarł nad ranem 4 marca 2004 r. w wieku 88 lat. W chwili śmierci byli przy nim najbliżsi: syn Konstanty, córka Marta i wnuczka Ania. Pochowany został na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie.

Paweł Piotrowicz
Onet



Pomnik Jeremiego Przybory w Opolu



Międzyzdroje, Promenada Gwiazd

*Słowa rozpalone nienawiścią podpalają nie
gorzej niż zapalki*

*

*Bardzo przyjemnie czekać na jakąś panią.
Właśnie czekać jest chyba najprzyjemniej*

*

*Na świecie jest pewien ograniczony zapas
miłości – kiedy jedna się zaczyna, druga musi
się skończyć*

*

Nie wymagajmy zbyt wiele od ludzi



W pewnym mieście na Śląsku facet stara się o pracę w kopalni. Mężczyzna jest potężnie zbudowany i umięśniony, więc zadowolony kierownik mówi:

- Bardzo się cieszymy, że chce pan u nas pracować. Proszę tylko podpisać umowę i może pan zacząć od jutra.
 - Ale ja nie umiem pisać.
 - W takim razie pracy nie będzie.
- Zmartwiony facet wychodzi.

Minęło parę lat.

Do największego jubilera na Wall Street wchodzi dokładnie ten sam facet i mówi:

- Poproszę te dziesięć Rolexów, pięć złotych naszyjników...

Mężczyzna wymienia dalej i w końcu kasjerka mówi:

- Dobrze, to razem będzie 150 tysięcy dolarów.

Facet otwiera walizkę i rzuca jej garściami setki dolarów.

Kasjerka liczy, liczy aż uzbierała cała kwotę.

Po wszystkim mówi:

- Wszystko się zgadza, tutaj jest towar. Zastanawia mnie tylko, czy nie łatwiej by panu było czek wypisać?
- Pani! Jak ja bym umiał pisać, to do teraz bym w kopalni pracował!

Moje dziecko ukończyło w LO profil geograficzno-matematyczny i zyskało konkretne kompetencje. Potrafi powiedzieć, gdzie leży kalkulator.



Tymczasem gdzieś w Izraelu:

- Mame, kup psa!
- Icek, nie!
- Ale mame, kup psa! No proszę!
- Icek, nie!
- Mame!
- Idź na podwórko, może tam ktoś kupi.

Prawnik wraca do swojego zaparkowanego BMW, patrzy, a auto ma zbite reflektory i znacznie wgniecioną maskę. Nie ma śladu po samochodzie, który w niego wjechał, ale oddycha z ulgą, kiedy spostrzega kartkę pod wycieraczką:

"Przepraszam. Właśnie wjechałem w twoją Beemkę. Świadkowie, którzy to widzieli, kiwają głowami i uśmiechają się do mnie, bo myślą, że zostawiam swoje nazwisko, adres i inne szczegóły. Ale nie! Pa!"

Facet leży na stole operacyjnym i chwytając rękę chirurga:

- Doktorze! Niech mnie pan ratuje! Dam panu wielką kasę. Ale pomóż pan!
- Chirurg:

- Najpierw pieniądze! U nas obowiązują przedpłaty. Pomożesz ludziom, a potem żadnej wdzięczności! Leży sobie taki jeden z drugim w prosektorium i ma taką minę, jakby człowieka w ogóle nie znał!

Zakład Ubezpieczeń Społecznych ostrzega: prowadzenie zdrowego trybu życia grozi wieloletnią wegetacją za groszową emeryturę!



ANEGDOTY O SŁAWNYCH CZ. 5

Brat Beethovena, Jan, przywiązywał wielką wagę do majątku. Na nowy rok 1823 przysłał kompozytorowi życzenia na swojej karcie wizytowej, gdzie wydrukowane było:

Johann Beethoven

właściciel ziemski

Ludwig napisał na odwrocie:

Ludwig van Beethoven

właściciel rozumu

i zwrócił kartę swemu bratu.

*

Chopin jako 16-letni młodzieniec przebywał w Berlinie. Gdy jego znajomi Prusacy oburzali się, że Warszawa stawia pomnik Mikołajowi Kopernikowi, twierdząc, iż genialny astronom, powinien być uważany za Niemca, ponieważ urodził się w Toruniu, Fryderyk odpowiedział:

- Według waszego rozumowania Jezus Chrystus, rodząc się w Judei, powinien być uważany za Turka.

*

Mozart wezwany do złożenia tak zwanego zeznania o dochodach, wpisał do formularza osiemset guldenów gaży, którą pobierał jako nadworny kompozytor cesarza Józefa, zaś do rubryki "specjalne uwagi":

"Zbyt wiele za to, co robię, i zbyt mało za to, co mógłbym zrobić".



